



Ernest Bryll

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XX Nr 3(223) Żelów, marzec 2015

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Ernesta Brylla, Sylwestra Gołębia, Jana Stanisława Kiczora, Mariusza Cezarego Kosmali, Adama Lewandowskiego, Mateusza Pieniążka, Kaliny Izabeli Zioly

Andrzej Dębkowski – Ernest Bryll

Leszek Żuliński – AKW – podróżnik

Józef Baran – Przystanek marzenie

prof. Maria Szyszkowska – Filozofia

codziennosci oraz Nowe poszukiwania

prof. Ignacy S. Fiut – Wiersze ze świata

bajek

Kazimierz Ivosse – Kto w płomieniach,

kto w odmętach

Stefan Jurkowski – Skuteczne odchudzanie

nie

Andrzej Bartyński – Framuga

Emil Biela – Być mnichem oraz Piękna,

listowna przyjaźń

Szczęśny Wroński – W drodze

Danuta Gil-Łowkis – Stefan (3)

Katarzyna Eremus – Automobilem przez

Europę (2)

Danuta Sułkowska – We śnie i na jawie,

po meandrach bytu

Paweł Kuszczynski – Głębia wartości

Magdalena Knedler – „Smak błękitnego nieba”

Wydarzenia

Informacje

Imprezy

Kronika

Zapowiedzi

Opinie

Noty

Poglądy

Konkursy

Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

Minęła 10. rocznica śmierci **Henryka Cygani-ka**, poety, pisarza, dziennikarza, satyryka.

Studiował reżyserię w krakowskiej PWST. W latach 1970-1976 redaktor, potem kierownik i publicysta działu kulturalnego „Gazety Krakowskiej”, a w 1976 również Gazety Południowej.

Kierownik literacki Teatru im. Solskiego w Tarnowie, Teatru Lalki i Aktora „Pinokio” w Łodzi, krakowskiego Teatru Groteska, Teatru Ludowego i Teatru Satyry „Maszkaron”. W latach 1980-1990 dziennikarz Rozgłośni Polskiego Radia w Krakowie. Członek ruchu społeczno-kulturalnego ZMW „Scena Ludowa”, pracownik Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Tarnowie (1989), redaktor naczelny „Gazety Towarzyskiej” (1991), redaktor naczelny dziennika „Wici Polonijne” (1991-2004) wydawanego podczas odbywającego się co roku Światowego Forum Mediów Polonijnych, redaktor naczelny miesięcznika „Tarminy” (1994), redaktor naczelny tygodnika „Dziś i jutro” (1995).

Napisał kilka tysięcy stron tekstów rozmaitych – od sztuk teatralnych, bajek dla dzieci, poprzez programy satyryczne dla kabaretów „Pod Budą” (założonego przez Bohdana Smolenia) i „Sieroty PRL-u”, słuchowiska radiowe, opowiadania, reportaże, teksty piosenek m.in. do telewizyjnych „Spotkań z Balladą”. Pomysłodawca i współzałożyciel Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego STAL w Krakowie.

Zajmował się popularyzacją poezji, był członkiem wielu komisji w konkursach poetyckich, jurorem na przeglądach i festiwalach teatrów amatorskich. Prowadził warsztaty poetyckie i teatralne. Wydał kilka tomików wierszy: *Regina* (1989), *Dopiero za pięć dwunasta* (1997), *Gryps dla umarłych* (2000), *Biała klinika* (2001), *Przeszedłem przez ścianę* (2003), *Święty azyl* (2004). Niepokorny góral z krwi i kości, zakochany w gwarze i kulturze, wydał *Cosik śmięsnego Jaśka Plewowego* (1998) oraz *Anegdoty góralskie i Dowcipy góralskie* (2000).

Konkursy

X Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Rainera Marii Rilkego

Dwumiesięcznik literacki „Topos”, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu ogłaszają X Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Rainera Marii Rilkego na zestaw pięciu wierszy w trzech egzemplarzach. Nadesłane wiersze nie mogą być publikowane i nagradzane w innych konkursach.

Profesjonalne jury przyzna: POETYCKĄ NAGRODĘ RAINERA MARII RILKEGO oraz nie mniej niż dwie nagrody drugiego stopnia. Laureaci otrzymują nagrody pieniężne (główna – 3.000 zł) ufundowane przez organizatorów i fundatorów (warunek – udział w gali festiwalowej, w przeciwnym razie nagroda pozostaje wyróżnieniem honorowym a gratyfikacja pieniężna powiększy sumę nagród w kolejnym Konkursie).

Konkurs ma charakter otwarty, bez ograniczeń wiekowych i wymagań tematycznych. Utwory należy opatrzyć godłem (słownym), a w zaklejonej kopercie, sygnowanej tym samym godłem, przesłać następujące dane: imię i nazwisko, dokładny adres zamieszkania, numer telefonu, e-mail. Honorowane będą tylko prace na papierze formatu A4, nade-

ślane w formie wydruku komputerowego bądź maszynopisu. Organizatorzy nie zwracają nadsyłanych utworów. Wyniki Konkursu zostaną opublikowane w prasie i internecie.

Przesłanie prac konkursowych oznacza zgodę autora na nieodpłatne wykorzystanie tekstów w prasie literackiej („Topos”), ewentualnie na stronach internetowych Organizatora oraz na gromadzenie i przetwarzanie danych osobowych uczestników do potrzeb konkursowych.

Uroczyste wręczenie nagród odbędzie się w październiku 2015 roku podczas Festiwalu Poezji w Sopocie. Laureaci zostaną zawiadomieni o terminie wręczenia minimum 2 tygodnie przed uroczystością.

Termin nadsyłania prac: 15 sierpnia 2015 roku. Adres: Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, ul. Czyżewskiego 12, 81-706 Sopot z dopiskiem na kopercie „Konkurs im. R. M. Rilkego”.

Dodatkowe informacje: www.topos.com.pl; topos10@interia.pl

I Mazowiecki Konkurs Poetycki im. Zygmunta Jana Rumla

Konkurs przeznaczony jest dla utalentowanych adeptów pióra, którzy ukończyli 16 lat, a nie przekroczyli 28. roku życia.

Uczestnicy winni wysłać na adres organizatora zestaw złożony z 3 wierszy w 4 egzemplarzach opatrzonych dowolnie wybranym godłem słownym (niegraficznym).

Do nadesłanych prac należy dołączyć w osobnej kopercie opatrzonej godłem dokładną datę urodzenia, imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu i email oraz krótką notkę biograficzną.

Należy nadesłać wiersze, które nie były wcześniej publikowane ani nagradzane. Jeden autor może nadesłać tylko jeden zestaw. Tematyka wierszy jest dowolna.

Termin nadesłania prac upływa 5 maja 2015 roku (decyduje data stempla pocztowego). Utwory oceni jury powołane przez organizatorów.

Konkurs zostanie rozstrzygnięty do końca maja 2015 roku. Wręczenie nagród nastąpi podczas spotkania literackiego. O dokładnym terminie i miejscu uczestnicy zostaną powiadomieni.

Jury przyzna I, II i III nagrodą ufundowane przez organizatorów, sponsorów i instytucje kulturalne. Podział nagród może ulec zmianie. Nadesłane prace nie podlegają zwrotowi. Nadesłanie prac na konkurs jest jednocześnie zgodą na ich opublikowanie.

Adres organizatorów: Klub Literacki „Pegaz” im. Władysława Sebyły przy Towarzystwie Historycznym im. Szembeków, Plac Grzybowski 2 lok. 22, 00-109 Warszawa. Więcej informacji: Biuro Organizacyjne Konkursu Agnieszka Żądło-Jadczak, klubliterackipegaz@o2.pl

XIII Konkurs Poetycki im. Jana Kulki

1. Organizatorem konkursu jest Miejski Dom Kultury – Dom Środowisk Twórczych w Łomży.
2. Konkurs ma charakter otwarty – skierowany jest zarówno do autorów zrzeszonych w związkach twórczych, jak i niezrzeszonych.
3. Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie dwóch niepublikowanych drukiem i nie-

nagradzanych tekstów poetyckich na adres Organizatora.

4. Uczestnik konkursu może przesłać tylko jeden zestaw wierszy.
5. Tematyka utworów może być dowolna, chociaż jurorzy specjalną nagrodą honorują wiersz związany tematycznie z Łomżą lub jej okolicą (może to być jeden tekst dodatkowy do zestawu).
6. Teksty, w trzech egzemplarzach, muszą być oznaczone godłem (wyrazowym), a w dołączonej kopercie – oznaczonej tym samym godłem – powinny znajdować się dane dotyczące autora (imię, nazwisko, adres, telefon, adres e-mailowy, nota biograficzna).
7. Teksty konkursowe należy przesłać do 20 marca 2015 roku włącznie (decyduje data stempla pocztowego) na adres: MIEJSKI DOM KULTURY – DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH, ul. Wojska Polskiego 3, 18-400 Łomża.
8. Organizator nie zwraca przesłanych tekstów.
9. Teksty oceniać będą jurorzy powołani przez Organizatora.
10. Laureaci Konkursu zostaną uhonorowani nagrodami i wyróżnieniami pieniężnymi.
11. Nagroda Główna wynosi 2000 złotych.
12. Za najlepszy wiersz o tematyce łomżyńskiej jest przyznawana Nagroda Prezydenta Łomży.
13. Rozstrzygnięcie konkursu i uroczyste wręczenie nagród odbędzie się 25 kwietnia 2015 roku.
14. Laureaci konkursu zostaną powiadomieni telefonicznie (pocztą e-mail) o uhonorowaniu przez jury, gdyż wszyscy laureaci zobowiązani są do osobistego odbioru nagrody.
15. Informacje szczegółowe dotyczące gali wręczenia nagród umieszczone będą na stronie Organizatora: www.mdk.4lomza.pl
16. Nieodebrane nagrody przechodzą na rzecz Organizatora.
17. Organizator nie zwraca kosztów podróży.
18. Dane osobowe uczestników konkursu mogą być wykorzystywane zgodnie z ustawą o ochronie danych osobowych z dnia 29 sierpnia 1997 r. (tekst jednolity; Dz. U. z 2002 r. Nr 101, poz. 926 z późn. zm.) przez Organizatora na potrzeby niniejszego Konkursu oraz do prowadzenia działań promocyjno-reklamowych.
19. Udział w Konkursie jest równoznaczny ze zgodą na publiczne wykorzystanie utworów oraz z nieodpłatnym przekazaniem na Organizatora praw autorskich na następujących polach eksploatacji: druk w dowolnej liczbie publikacji w dowolnym nakładzie, używanie w Internecie oraz w innych formach utrwalenia nadających się do rozpowszechniania (np. nośniki przetwarzane komputerowo).
20. Podczas uroczystości wręczenia nagród zostanie sporządzona dokumentacja fotograficzna i filmowa utrwalająca wizerunki uczestników ww. gali. Organizator zastrzega sobie prawo do publicznego jej wykorzystywania, utrwalania i powielania, wykorzystywania w celach promocyjnych i reklamowych, zamieszczania w prasie, mediach, Internecie oraz innych formach utrwalenia nadających się do rozpowszechniania, podając dane autora, bez ograniczeń czasowych i ilościowych.
21. Udział w Konkursie stanowi potwierdzenie zapoznania się z regulaminem i tym samym wyrażenie zgody na nieodpłatne wykorzystywanie utworów oraz wizerunku uczestnika w ww. zakresie.
22. Informacje na temat konkursu uzyskać można pod numerem telefonu: 86 216 32 26.

W drodze

1. Czy odchodzimy stąd naprawdę?

„Skąd przychodzimy? Dokąd idziemy?
Z jakiego powodu jesteśmy na Ziemi
Możliwe że mamy do spełnienia zadanie
O którym nic nie wiemy”
(Pieśń o Ziemi – Inwokacja)

– Czy odchodzimy stąd naprawdę? – to pytanie opętało mnie bez reszty, kiedy rozłączyłem telefon i w uszach wibrowała mi niewiarygodna informacja, że mój serdeczny przyjaciel, Henryk, jest w bardzo ciężkim stanie na oddziale reanimacyjnym Szpitala na Czarnowie. Głos Eli, żony Henryka, powtarzał w mojej głowie jedno i to samo: „nieprzytomny, w śpiączce, stan bardzo ciężki, niestabilny”... Trudno w to uwierzyć, bo jeszcze w sobotę, 25 października, spotkaliśmy się na prapremierze tak długo wyczekiwanego oratorium poświęconego Matce Bożej Ostrobramskiej ze Skarżyska. Gdy wybrzmiały ostatnie takty, po bisach, Henryk był bardzo szczęśliwy. Chyba nigdy w czasie naszej 33-letniej, braterskiej znajomości nie widziałem go tak rozpromienionego. Gratulowałem jemu, kompozytorowi Pawłowi Łukowcowi i wykonawcom mówiąc, że to, co się wydarzyło, jest prawdziwym cudem, bo poezja i muzyka połączyła nas i sprawiła, że staliśmy się sobie bardziej bliscy.

Obserwowałem ludzi, którzy z sympatią patrzyli na siebie i nie kwapili się do wyjścia.

We wtorek wieczorem pod nasz dom na Mąchockiej niespodziewanie podjechał znajomy szafirowy „Garbus” i jak wielokrotnie to się zdarzało, wysiedli z niego: Ela i Henryk. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że tym razem przyjechali bez uprzedzenia. Po prostu weszli na schody, gdzie jak zwykle przywitała ich ruchliwa jak żywe, choć rude srebro, nasza bokserka Fiona, ocierając się o ich nogi i domagając się pieczyoty.

Jak zwykle, przy kawie i ciastkach przesiedzieliśmy parę godzin i rozmawialiśmy, rozmawiali, rozmawiali. Tyle było jeszcze spraw do omówienia, tych drobnych, życiowych i tych artystycznych. I tym razem Henryk powtórzył swoje credo, że sztuka jest bardzo ważna, ale ważniejsza jest przyjaźń, bo ona buduje sens... Uścisnęliśmy się jak zwykle na pożegnanie i... w czwartek rano ten telefon: „Henryk w środę wieczorem wyszedł z łazienki, upadł, cztery defibrylacje, adrenalina, zabrało go pogotowie...”.

17 dni niepewności, lęku i nadziei. Kilka razy wydawało się, że wraca mu świadomość, że jest jakaś szansa... Mówiliśmy, że bardzo go kochamy, że czekamy na niego, że czeka na niego tylu przyjaciół, że tak wiele jest jeszcze do zrobienia... Jeszcze w piątek trzymałem go za rękę i patrzyłem w jego półotwarte oczy, i

bardzo chciałem wierzyć, że znowu spędzimy razem Sylwestra. Powiedziałem mu o tym, chyba spojrział na mnie...

W sobotę w południe telefon. Głuchy głos Eli – „Henryk odszedł...”.

...Zawalił się świat...

– Gdzie odszedł? – zapytałem sam siebie. – Czy można tak daleko odejść, żeby już nie wrócić?

– Czy możliwy jest świat, Kielce, bez Henryka Jachimowskiego, człowieka tak niezwykle ciepłego, życzliwego ludziom, będącego dla wielu ostoją. Przez 33 lata wspieraliśmy się nawzajem, doradzaliśmy sobie w pisaniu i gdziekolwiek bym nie spojrział, tam widzę jego pogodną twarz i niepozorną, nieco przygarbioną sylwetkę, jakby nieustannie tropił coś przed sobą – to wpatrującego się z zadumą w ptaki odlatujące na zimę. Byliśmy razem w tylu miejscach; nawet na Pilsku, górze mojego dzieciństwa, sunęliśmy obok siebie na nartach i zima zamieniała się w wiosnę, potem w lato... Henryk, Ela, Basia i ja w wymarzoną Marzyszu – zbliżała się jesień – listopad tuż, tuż...

Stasiu Nyczaj poprosił mnie o tekst o oratorium i o naszym Henryku... Pisałem go, gdy on spał w swoim kosmicznym łóżu na OIOM-ie i śnił „swój sen o wolności” – podłączony do aparatury, zasilany kroplówkami, oddychał równo...

15 listopada, godzina 10.55!

Jestem przekonany, że Henryk nie odszedł, bo nie odchodzi się z miejsca swojego przeznaczenia – naznaczonego własną miłością i pasją sprzyjania ludziom.

Wciąż słyszę jego słowa: „Jesteś dzieckiem świata... Nie czyni nic przeciw miłości”...

I jest jeszcze tak wiele słów przez niego wypowiedzianych i zapisanych. Tyle obrazów, myśli, intuicji, ważnych i budujących, składających do refleksji i do świętego sprzeciwu wobec zła, które wciąż dzieli ludzi. I tutaj potrzebny nam jest Henryk, jego delikatnie upominające słowo, rozbrajający uśmiech i ciepły uścisk, klepnięcie po ramieniu dla dodania otuchy. Potrzebne nam są jego mądre i czułe teksty, i nadzieja, że jest jeszcze czas.

2.

Delikatność, mądrość, miłość

Twórcę i jego dzieło klasyfikuje się na wiele sposobów. Podstawą jednego z nich jest stosunek do świata i tworzywa artystycznego. Stosując to kryterium można mówić o oryginalności i własnym języku, który buduje perspektywę nowej rzeczywistości, kreowanej przez autora lub o twórczej kontynuacji dzieła poprzednika.

O Henryku Jachimowskim pisały w tonie

entuzjastycznym tak wybitne osobistości literatury, jak Jarosław Iwaszkiewicz czy Henryk Bereza. Natomiast Tadeusz Nyczek nazywa teatr Jachimowskiego „Theatrum Mundi”, a jedną z najdziwniejszych jego książek, *Mgłę*, określa tak: „jeśli da się wpisać tę małą książeczkę w jakąś tradycję literacką, winna znaleźć miejsce w ciągu, któremu odczuwa pisarstwo Kafki, Brocha, Musiła, Doderera, Marqueza”. Trudno o większą nobilitację.

Henryk Jachimowski jest twórcą niezwykle oryginalnym i odrębnym, który ma świadomość niepowtarzalności ludzkiego istnienia, postrzegania i diagnozowania świata. Jest właścicielem domu własnej literatury, której dopracował się przez lata. Zyskał też świadomość „niemocy” utworu literackiego, dlatego zafascynowany siłą żywego słowa, z początkiem lat osiemdziesiątych, zwrócił się w kierunku teatru i muzyki, której potrzebował jako niezwykle skutecznego medium katalizującego odbiór słowa. Jego dramat *Mgła* (adaptacja powieści pod tym samym tytułem, 1982) i *Makijaż* (1985) prezentowane były w Teatrze Stu, w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego, z muzyką Janusza Grzywacza.

Inny utwór, *Ligę Kobiet* (w tłumaczeniu Elżbiety Jachimowskiej, żony autora, pisarki i tłumaczki), zawiozłem do Londynu i zaproponowałem znanemu zespołowi z alternatywnego nurtu fringe. Podjęliśmy wspólną pracę z liderem zespołu, Samem Dowlingiem i międzynarodowym zespołem aktorskim. Premiera sztuki, z angielskim tytułem *The Females*, odbyła się w styczniu 1992 w siedzibie The Tabard Theatre w Londynie. W tym przypadku naturalny rytm poetyckiej wypowiedzi i rytmizowane niemal w sposób muzyczny działania sceniczne współtworzyły transową organikę i poetykę spektaklu, co przez angielską, „chłodną” publiczność odebrane zostało znakomicie i skwitowane entuzjastycznymi recenzjami w pismach: *Time out*, *What'on* i *The Guardian*. Przytoczę tylko tytuł jednego z artykułów: „Szaleńczy wieczór ruchu, muzyki i magii” – tak określił spektakl londyński tygodnik *What's*.

Stąd wiodła prosta droga zwrócenia się w kierunku formy z pogranicza teatru i muzyki, i następnym ważnym dziełem Jachimowskiego był spektakl *Image* zrealizowany na Scenie Autorskiej STUDIO, w autorskiej reżyserii, z muzyką Jana Jarczyka (prapremiera: 5 lutego 1994).

Scena Autorska, zainicjowana przez niego przy Kieleckim Centrum Kultury w roku 1992, była jego ukochanym dzieckiem; tak ją rekomendował: „Nic tak nie odnawia sztuki jak wyodrębnianie się i ODMIENNOŚĆ. Poszukując tego w teatrze także widz. (...) Idea Sceny Autorskiej związana jest z trwającą nieprzerwanie potrzebą dostrzegania tego, co w ludzkim rozumieniu WIECZNE i zachodzących nieprzerwa-

(Dokończenie na stronie 4)

W drodze

(Dokończenie ze strony 3)

nie wokoło zmian – w imieniu dzieła dopełniającego wszystko to, co już kiedykolwiek powiedziano – równocześnie jakby newralgicznie uczulonego na prawdę i współczesność”.

Potem zajaśniała nam i poruszyła serca *Pieśń wigilijna*, z niezwykle sugestywną, transowo pulsującą, pobrzmiwającą rytualną obsesyjnością muzyką Marka Tercza. Prapremiera tego unikalnego utworu miała miejsce 23 grudnia 1994 roku, również w ramach Sceny Autorskiej STUDIO. Przedstawienie promowane przez moją Agencję Promocji Artystycznej „Pro Art”, prezentowane wielokrotnie, m.in. w Teatrze STU, w Teatrze Bagatela i na scenie Katolickiego Centrum Kultury w Krakowie – do dzisiaj pozostało w pamięci widzów jako spektakl budzący dobre, wzniosłe uczucia i sprzeciw wobec okrutnego świata, tyranizującego wolność jednostek i narodów.

W ramach Sceny Autorskiej, niezwykle twórczy i dynamiczny tandem: Jachimowski / Tercz zrealizował cykl form teatralno-oratoryjnych takich jak: *Pieśń o Miłości*, *Pieśń o Wolności*, *Pieśń o Ziemi* oraz wiele okazjonalnych koncertów, wigilii i innych wydarzeń artystycznych, które zawsze gromadziły nadkomplety na widowni – wyzwały serdeczny i spontaniczny odbiór. Henryk Jachimowski jako autor tekstów był też współtwórcą sukcesu Justyny Łysak, która zdobyła wiele prestiżowych nagród, a w III Edycji Festiwalu Twórczości KOROWÓD została podwójną laureatką: za wykonanie i za piosenkę *Moje życie jest moje*. Po tych wydarzeniach zostały zapisy filmowe, dźwiękowe, płyty i teledyski dostępne na youtube oraz w pamięci wykonawców i widzów.

Henryk Jachimowski współpracował również z Kieleckim Teatrem Tańca, pisząc libretta do znaczących spektakli: *Pasja* (2006 z muzyką Pawła Łukowca) i *Zdarzyło się w Jeruzalem* (2008 z muzyką Krzesimira Dębskiego).

Począwszy od *Pieśni wigilijnej*, w utworach Jachimowskiego pojawia się odniesienie do nieogarnionej tajemnicy, do „miłości świętej, niepojętej”, jaką jest Bóg i Matka Boża, którą traktował zawsze jako matkę najczulszą, najbliższą – prowadzącą za rękę do dziecięcej wiary, ufności i nadziei.

W roku 2012 powstał poemat o Karczówce, *Zapisane w pamięć*, dotychczas niezrealizowany, złożony z dwunastu pieśni – obrazów, z których przebija głęboko ludzkie, franciszkańskie brzmienie i wyczuwalna bliskość świętości: *Modli się po swojemu modliszka / Cisza do wiatru do ciszy wiatr / W kaplicy łąki ptasi raj / To świata kościół / W kościele tym Ty i ja / Tobie się zwierzam*. W innym miejscu tego utworu pojawia się przejmująca fraza, wyznanie poety: *Modlitwa moja / nie szuka Boga lecz go dotyka*. To skłania do wmyślenia się w istotę religijnego poznania jako ludzkiego, realnego doświadczenia.

Temat maryjny, w ostatnich latach życia, coraz częściej wypełniał myśli i serce Henryka Jachimowskiego w najszlachetniejszym znacze-

niu tego słowa. To było odwołanie do własnej matki, do wsi rodzinnej, rodowodu, którego się nie wstydził, lecz mówił o nim z dumą i przekonaniem, że dał mu wiarę w ludzi i miłość do wszystkich żywych istot. Toteż wiele satysfakcji przyniosła mu praca nad kolejnym wyznaniem, jakim było oddanie poetyckiego hołdu Matce Bożej Ostrobramskiej w Skarżysku-Kamiennej. Długo nosił ją w sercu, rozmawiał z Nią – stawała się też często wiodącym tematem naszych rozmów.

Prawykonanie oratorium *Święta przy Tobie Chwila* miało miejsce w Skarżysku-Kamiennej, 25 października o godz. 19.00. Było ono artystycznym ukoronowaniem wielkiego wydarzenia dla regionu świętokrzyskiego: Kościół Matki Bożej Ostrobramskiej w Skarżysku-Kamiennej został podniesiony do godności bazyliki mniejszej. Było to ogromne przedsięwzięcie. Praca nad materiałem literackim i muzycznym trwała ponad trzy lata. Muzykę do czterestu pieśni Henryka Jachimowskiego skomponował Paweł Łukowicz. Do udziału w oratorium zaangażowani zostali soliści: Olga Szomańska (aktorka i wokalistka), Marzena Trzebińska (artystka śpiewaczka – sopran liryczny), Marcin Jajkiewicz (wokalista jazzowy) oraz Andrzej Gumiel (saksofonista, pedagog i aranżer). Towarzyszyły im połączone chóry: Fermata oraz chór Instytutu Edukacji Muzycznej UJK, które przygotowała Ewa Robak, a także Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Świętokrzyskiej pod dyrekcją Jacka Rogali.

Oratorium od pierwszych taktów ujęło zgromadzonych licznie słuchaczy i mimo podniosłego tematu, wolne było od patosu i koturnowości. Słowa i muzyka współbrzmiały ze sobą tworząc jednorodną całość. Odnosiło się wrażenie, że zespół jest jednym organizmem przekazującym nam własną prawdę o miłości, o bezgranicznym zaufaniu i oddaniu Naszej Matce – tej rodzonej i tej świętej: „Matko Wybrana Niepokalana co z Ostrej Bramy osłaniasz miasto / Zasłoń nas przed złą przepaścią / Płaszczem Najświętszym zasłoń” (*Pieśń 1*). Wrażenie wyczuwa się w tekstach i interpretacji wykonawców zamyślenie nad naszą tradycją, potrzebę bliskości, czułości oraz wyzwolenia się z obywatelskiej samotności: „Przychodzę tu by nie być samotny / i Ty Matko, abyś nie była samotna” (*Pieśń 2*). Sprawia to wrażenie narastającej, skupionej modlitwy, która, poprzez rytm i litanijną powtarzalność wersów, przybiera formę medytacji – kulminuje w finale, by zjednoczyć nas i wyzwoić od lęku:

(...) *Tyś laski pełna
Obleczona w słońce
Ty zewsząd
Ty nam z Ostrej Bramy
Doradzasz iść spokojnie*

*Wiara moja naprzeciw zwątpienia
Nadzieja – o nią Cię upraszam
Czym życie bez wiary byłoby
bez nadziei i bez miłości płaszczca*

*Obraz Twój święty objęty
Wieniec gwiazd dwunastu
Wienczy się nim nowa Europa
W wiencu tym gwiazd światło najczystsze*

W świetle tym gwiazda jedna: Chrystus

Na uwagę zasługuje też staranny dobór głosów wokalistów, to dyskretnych i delikatnych, to wzbierających na sile w błogosławionym *crescendo*, by sprzymierzyć się z potęgą chóru i uderzyć z ogromną mocą.

Dawno nie uczestniczyłem koncercie, który tworzyłby tak silnie harmonijny i emocjonalny zarazem przekaz. Oddanie wykonawców, ich wiara w słowo i siła muzyki sprawiły, że z minuty na minutę stawali się uczestnikami unikalnego wydarzenia – rodzenia się ludzkiej wspólnoty myśli i uczuć – pod kopułą skarżyskiego Sanktuarium...

Szczęśny Wroński

HENRYK JACHIMOWSKI (ur. 16 kwietnia 1938 w Rożnicy, zm. 15 listopada 2014 w Kielcach) – pisarz (poeta, prozaik, dramaturg), edytor i serdeczny opiekun młodych twórców.

Wydał m.in. książki: *Idę po dnie rzeki* (poezje, 1965), *Jaszczury* (opowiadania, 1966), *Skaza* (powieść, 1969), *Pieśni wyśpiewane* (poezje, 1970), *Mity powracające* (poezje, 1975), *Mgła* (powieść, 1976), *Dramaty* (1976), *Nostalgia* (utwory sceniczne, 1997), *Jesteś dzieckiem świata* (pieśni, 2006). Autor librett do oratoriów i spektakli tanecznych. Wystawiał swoje sztuki teatralne w kraju (Teatr STU i Teatr Bagatela w Krakowie) oraz za granicą (Londyn, Budapeszt). Uehonorowany znaczącymi nagrodami, m.in. Nagrodą Czerwonej Róży, Nagrodą o Laur Józefa Czechowicza, Nagrodą im. Stanisława Piętaka, regionalną Nagrodą im. Stanisława Staszica. Jest też laureatem Nagrody I Stopnia Miasta Kielce w dziedzinie twórczości artystycznej za rok 2006.

Od 1992 r. prowadził w Kieleckim Centrum Kultury Scenę Autorską, w programie której realizował idee Teatru Kobiet w takich spektaklach, jak: *Image*, *Pieśń wigilijna*, *Pieśń o miłości*, *Pieśń o wolności*, *Pieśń o Ziemi* oraz poprzez poetycką opowieść recitalu wyśpiewanego przez Justynę Łysak *Moje życie jest moje*. Realizacje te przedstawiane były wielokrotnie w Kielcach, w kościołach i teatrach na terenie kraju.

Współpracował z Kieleckim Teatrem Tańca, który według jego tekstów zrealizował spektakle taneczne: *Pasja* oraz *Zdarzyło się w Jeruzolimie*. Muzykę do utworów teatralnych Henryka Jachimowskiego komponowali m.in. Jan Jarczyk, Janusz Grzywacz, Paweł Łukowicz, Krzesimir Dębski, a do utworów poetyckich i poematów pieśniowych – realizowanych w formie spektakli muzycznych – Marek Tercz.

Teksty Jachimowskiego są według krytyków: „nieprawdopodobnie prawdziwe, bliskie, nasze, aktualne, uniwersalne i terazniejsze, proste i mądre, ważne, intelektualne i ujmujące emocjonalne, upominające z przejęciem, dające nadzieję i wiarę, wyróżniające ponad wszystko DELIKATNOŚĆ, MĄDROŚĆ, MIŁOŚĆ”.



MNIJ WIĘCEJ (121)



Foto: Zofia Mikula

AKW – podróżnik

Andrzej K. Waśkiewicz był wiecznie w rozjazdach. Mieszkając w Zielonej Górze, a potem w Gdańsku, stale siedział w pociągach. Musiał jeździć do Warszawy, gdzie przecież pracował w strukturach literackich Zrzeszenia Studentów Polskich, potem w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej i był wieloletnim członkiem Zarządu Głównego ZLP. Jeździł też po Polsce, gdzie często zapraszano go na imprezy literackie. Zdarzały się również wyjazdy zagraniczne.

LESZEK ŻULIŃSKI

W roku 1986 został zaproszony na VII Festiwal Poezji Al-Mirbad w Bagdadzie (Irak). Nawiasem mówiąc, potem, w roku 1991 opublikował jeden z ciekawszych swoich utworów z podróży tą związanym pt. *Mirbad, 7*. Tamte lata 80-te były – przypomnę – niekomfortowe pod względem turystycznym; toczyła się przecież wojna irańsko-iracka. Dla AKW o tyle „wrażliwa”, że on głęboko w pamięci nosił dramatyczne powidoki ze swojego wojennego dzieciństwa. Echa tego znajdziecie w jego twórczości, m.in. we wspomnianym poemacie.

Minęły lata... I oto ukazała się książka pt. *Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca odwiedzane*. Książka zainicjowana przez Katedrę Arabistyki i Islamistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Pani Barbara Wrona była główną koordynatorką i realizatorką tego pomysłu (na liście autorów i tłumaczy doliczyłem się aż 36 nazwisk). Należą się jej wielkie brawa i z tego powodu, że książka jest bogato i nieszablonowo wydana, ale też pomieściło się w niej wiele „zdarzeń arabskich” Andrzeja, wspomnień, analiz, jak również przekładów jego wierszy na język arabski. Dla nas to duży cymes patrzyć na te „robaczki” arabskiego alfabetu, za którymi kryje się polska poezja. I trochę poezji irackiej tu opublikowanej. Książce patronuje także prof. Janusz Danecki, bodaj że najbardziej obecnie znany polski arabista i znawca tamtego regionu

kulturowego. Pisze on we wstępie: *Pomieszciliśmy w tym zbiorze publikacje, które powstały w znacznym stopniu dzięki cichemu, spokojnemu i pobłażliwemu spojrzeniu Andrzeja K. Waśkiewicza. To dzięki niemu orientaliści, a przede wszystkim arabiści, stali się znani w świecie literatury polskiej. A tym samym trafiła tam literatura arabska.*

Książkę tę otwierają artykuły opisujące atmosferę tamtych lat, analizujące i różnice, i podobieństwa uniwersaliów, dzięki którym współczesna poezja arabska i poezja polska mogą – jakby to nie zabrzmiało – wchodzić ze sobą w dialog. Dowiadujemy się nie tylko wielu szczegółów o tej osobliwej podróży Waśkiewicza, ale i towarzyszących jej emocjach. Ja z rozmów z Andrzejem pamiętam jego zafascynowanie tym wyjazdem. Ta podróż głęboko w nim siedziała, była poruszającym doświadczeniem. On kojarzył podobieństwa w tym morzu różnic, swoją osobistą traumę historyczną przekładał na szerszy światobraz. Esencję wywodził z egzystencji, a należał do pokolenia, które wciąż żyło historią i nagle okazało się, że ta historia lubi się rymować w różnych czasach i miejscach. Książka zawiera też rozmaite didaskalia w oczywisty sposób odległe od polskich doświadczeń, jednak przewija się w niej nitka podobieństw i wspólnoty. Znajdziemy tu także analizy twórczości Waśkiewicza, jak np. ciekawy artykuł Mirosławy Szott pt. „Formulizm a rzeczywistość. O konstruowaniu świata na podstawie wierszy Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza”.

A potem idą wspomnienia...

Hatif Janabi to Irakijczyk, którego od kilku dziesięcioleci znamy tu, w Warszawie. Poeta wrośnięty w Polskę. Nawiasem mówiąc, zatrudniony w Katedrze Arabistyki. Waśkiewicz poznał jeszcze dawnymi laty w redakcji pisma „Integracje”. Ech... Jakbym widział film z tamtego okresu. Byliśmy młodzi, zapaleni i nie udający bólu głowy na widok kolejnej flaszki. I już we wspomnieniu Hatifa wyskakuje rzecz oczywista: każdy, kto zetknął się z AKW natychmiast ustawiał go sobie na wysokiej półce. Andrzej miał swoją charyzmę i natychmiast stawał się autorytetem. Jego czytanie i wiedza imponowały. Jego zdrowy rozsądek oraz rzeczowość dominowały nad wrzawą środowiska. W pamięci Hatifa ta nuta brzmi celnymi spostrzeżeniami.

Eugeniusz Kurzawa to chyba najbliższy przyjaciel AKW. Jakby jego „wychowanek”. Znali się jeszcze z czasów zielonogórskich. Poniekąd jest on dziś pośród nas najważniejszym strażnikiem pamięci o Andrzeju. Ma co opowiadać i wspominać. Zupełnie niedawno – co sygnalizuję – zebrał i przygotował do druku książkę *Andrzej K. Waśkiewicz – Szkice z lat 1963-2012*. To już druga książka, jaką Kurzawa po śmierci Andrzeja sprokurował. A o wszystkim, co działo się za kurtyną, w życiu codziennym i prywatnym, ma Kurzawa jeszcze co pisać latami.

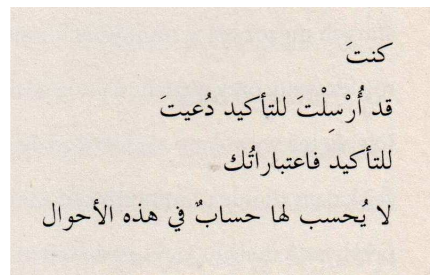
No i ja... Tu niezręcznie recenzentowi wspominać o sobie, ale trudno... Byłem z An-

drzejem i dwoma innymi kolegami z ZLP w roku 2004 w Chinach. W tej książce jest moje wspomnienie o tej podróży oraz kilka zrobionych przeze mnie zdjęć. Andrzej na Wielkim Murze, Andrzej w Zakazanym Mieście cesarskim, Andrzej na tle Pagody Wielkiej Gęsi... Byliśmy wtedy w trzech miastach: w Pekinie, Szanghaju i Xi-An. Oczami lustraliśmy całą tę egzotykę, ale nieustannie rozmawialiśmy tylko o jednym: o polskiej literaturze.

Nie uda mi się w tej objętości zmieścić wszystkiego, o czym w tej książce jest mowa. To książka-hybryda, książka-melanż. Nie wymieniłem nawet połowy tekstów, jakie tu są. Ale jest Andrzej! Wspominamy go, mówimy o jego literackości, którą był przesyty do cna. Przypominamy epizody jego życia. Przypominamy idee jego pisania. Zostawiamy ślad. Zbieramy drobiazgi (np. Marek M. Dziekan pisze, że w gazecie towarzyszącej bagdadzkiemu festiwalowi ukazały się wiersze Andrzeja. Pisze: *To spore wyróżnienie, biorąc pod uwagę, że w festiwalu brało udział kilkuset gości z całego świata...*). I jeszcze jedna uwaga: ta książka, której bohaterem jest niewątpliwie AKW, zgrabnie połączyła z głównym wątkiem popularyzację literatury arabskiej. A więc jest co sobie przypomnieć, jest co powspominać i jest się czegoś zupełnie nowego dowiedzieć.



„Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca odwiedzane”. Katedra Arabistyki i Islamistyki Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2015, s. 224.



Fragment wiersza Andrzeja K. Waśkiewicza w tłumaczeniu na język arabski.

Adam Lewandowski

Kule świata

Nie wiem jak długo
można dźwigać
ogromne kule
zadane światem.
Czasami uwierają są
ciężkie i wielkie
nie mieszczą naturą
i wyobraźnią!
Czasami są jak mięśnie nóg
po przebiegnięciu maratonu
czy płuca po dwudziestoletnim
paleniu!
Kolana posiniaczone
łokcie zbite. Ramiona ranione.
Dusza zdezelowana.
Oczy wpatrzone w
punkt naturalnej pomocy?
No nie! Nic nie ma!
Prostego słowa: trzymaj się!
dotknięcia koniuszkiem
palca delikatnie
by nie sprzedać całej duszy!
Może tylko jedną milionową
całego życia pojedynczy
kamień doliny Chochołowskiej!
Pozostają słowa Herberta
o słusznych szatach w które
od czasu do czasu się ubieramy.
Wolność w niewoli!

Jestem...

Postradałem wczorajszy
czas jak osiem porcji lodów
co konsumuje się w strumieniach
słońca by ocierając usta
zapomnieć o tym co było
co przez lata się zdarzyło
tym o co się walczyło!
Minęło nie ma choć
zdawało się do śmierci
takie pstryknięcie palcami
zdmuchnięcie ogarka bo
już podali kolejną dawkę prądu.
Przechowuję wirujący płomień
chronię przed deszczem wiatrem.
Przeniosę przez powódzie
sztormy spalę palce i rzęsy.
Doczekam się słowa:
jestem...

Myślowe racje

W istotę działania
wnika rozum.
Pozwól przedstawić
racje myślowe:
oto kwiat – dojrzały
rozwinęty

wie kiedy potrzebuje
wody, pieszczoty
zapylenia, ziemi.
Oto dłonie – piękne
gładkie
sięgające zielonej
łodygi które tworzą
soczystość życia.

Moje ręce ani piękne
ani gładkie –
chcą dać z siebie
prawdę rozum
serce zdrowie.
Nic w zamian...

Zbyt piękny kwiat!

Trzymam owoce
własnych przemyśleń
by wręczyć je Tobie.
Są słodkie, soczyste
i patrzą na mnie
jak żonkile!

Wieczór analizy

Wśród jednomyślności pojawiają
się zakłamanie strony prawdy
które jak łasice wiją się pomiędzy
nogami.

Wśród odmienności bywają
tubyłcy co zawsze
znajdą interpretację
niczym dawcy prawdy.

Wśród kłamców brylują
potwory i bluźniercy
nazywając przyzwoitych
nainnymi.

Wśród brzydoty można
znaleźć przedziwne piękno
co przypomina tulipana
w dłoni iluzjonisty.

Kalina Izabela Ziola

Bydgoska Wenecja

ciemne piwo nad Brdą
smakuje zupełnie inaczej
niż w czeskiej Pradze
ma w sobie gładkość
niesionych nurtem wodorostów
i goryczkę rozstania

ciężkie od kłódek mosty
tak jak w Wenecji
spinają brzegi ażurowym łukiem

samotna ławka na nabrzeżu

z zadumą spogląda
na niedzielnych wędkarzy
uparcie czeka
na zmęczonych przechodniów
lub niecierpliwych kochanków

wierzby przeglądają się w rzece
wiatr czesze
ich długie zielone włosy
też się w tej wodzie przeglądają
może mnie zapamięta

Dotyk

ciemno
tylko rozjarzone oczy mieszkań
próbują rozedrzeć suknię nocy

boli mnie twój dotyk
który nie dosięga mojej skóry
któremu bliżej do

szorstka odległość
kaleczy sny

pod powiekami
obraz splątanych ciał i zmiętej pościeli
prawie słyszę co mówisz
wiem z jaką czułością patrzysz
i jak twoje dłonie

boli mnie ten dotyk

Mozaika

przyplwy i odpływy
rytmiczny oddech morza
nierówny oddech życia

ramiona fal zagarniają
samotną płaszczyznę plaży
niosą łzy słońca połyskujące
w bursztynowych okrucach

czasem spóźniona meduza
pozostaje na piasku
zasypia różowym smutkiem

chwile przyplwają
chwile odpływają

kolejny dzień i głęboka noc
matowieją rozsypują się
w zmienną mozaikę kolorów

włosy jak dotknięcie księżycy
włosy jak czarny werset
włosy jak gorycz herbaty

życie krztusi się
nierównym oddechem

a morze spokojnie czeka
na kolejny przyplw

Jan Stanisław Kiczor

Moje pożegnanie

*...życie bez końca
jest byciem bez sensu
światłem bez cienia
echem bez głosu*

Ostatnia rozmowa – T. Różewicz

Dobrześ wybrał, mój Mistrzu, ten kawałek
nieba
Który nawet przez chmury umie słońcem
pieścić,
Gdzie wiersze się budują z ciszy tkwiącej
w drzewach,
A co boskie, co ludzkie, szuka własnych
treści.

Poza ciałem i słowem jest ogrom wspaniały
To czego się boimy, lecz nie chcemy mówić,
Samotność zbudowana z prawd dawno
zwietrzałych
I światło które ciemność ceni i hołubi.

Na cóż Ci rozumienie gwiazd, planet,
wszechświata,
Meandrów filozofii opasłe tomiska?
Wszechświat się dziś już cały z twoją duszą
zbratał
Strofy po karkonoskich spływają urwiskach.

I słycać głos poety, gdy coś go uwiera:
Życie sens ma dlatego, że trzeba umierać.

Mimochodem

Drzwi otwierają się na każdą stronę,
Południe czasem przemyka przez okna,
Na ścianach wiszą teksty starych nowenn,
Firana błyszczący jak znoszony ornat.

Sens w tym odnajdziesz (choć jest to bez
sensu),

Bo najważniejsze (i może się zdarzyć),
Że szukał będziesz różnych precedensów,
By do właściwych zwracać się ołtarzy.

To tak na poczet wszystkich naszych
szaleństw,
Z niewiary w wiary, lecz częściej – odwrotnie,
Bo może dzisiaj Boga nie ma wcale,
Lecz jutro, kto wie? Może gdzieś go
dotkniesz.

Lecz zważ, byś czasem, przez chepliwość
własną,

Imaginacji nie pomylił z Bogiem.
Drzwi wciąż otwarte mogą się zatrzasnąć
I sam zostaniesz, zaplątany w trwogę.

Po-ranne noce

Z inspiracji tekstami Marka Jastrzębia

Łóżko jest monotonią gdy zaczniesz otulać
Nalotem beczynności, patyną miesięcy,
Gdy atrakcją są wzory na spranych koszulach,
Lamperia, strzęp zasłony, sufit... i nic więcej.

Noc zawsze bardziej boli chrapiącą
przeźrzenią,
Skrzypieniem materacy, zrywaniem
oddechem,
Wyobraźnią co wiedzie ku nieznanym
cieniom,
Lub tylko chce przeniknąć pod przyjazną
strzechę.

Realność odzyskana porannym świtaniem
Niesie krzepką nadzieję na choćby część
siebie;
Wśród pokrętnych wyborów marzy się –
sztukamięś...
Lecz przestrzeń znów się kurczy – do granic –
sam nie wiem.

Gaśnie wiara pokryta gorszą częścią losu
Wycieńczoną część życia – odzyskać. Jest
sposób?

Mateusz Pieniążek

Słoił dżemu

Białe światło księżycy
Wchodzi przez parapet do sypialni
Prasuje wymięte prześcieradła
Szykuje się do snu
Budzimy je
Wstaje nagle i ucieka
Otwiera słoił dżemu
Jemy kolację, a potem kładziemy białe plecy
Słodko nam
Na słoiłku i dżemie
Resztki białego światła księżycy.

Stary

Siedzi jak ptak na czereśniowym drzewie
I stamtąd zbiera się w dolinę Jozafata
Obejmuje błonkami źrenic lecące gzy
Spada na blade czoło mały różowy kwiat
Stary szczepi młody pęd z niebem
Jego wielka miłość do kory rośnie w kształt
korony.

Mały nóż zmienia świat
Nie wierzy już ziemi pod stopami
Stoi na gałęzi i patrzy.

Nie jest mi obcy tam wysoko
Życzę mu powrotu do domu
W dolinę, o której marzy.
Dołem kot wlecze swój mokry brzuch.

Myśl sam

Myśl sam
Nie słuchaj radiowych stacji
Zgaś telewizor
Zaświeć księżyc
Pisz miłosne wiersze
Kochaj dziewczynę
Jej ulubione zwierzę da ci rozkosz
Spaceruj gwarną ulicą
Tam gdzie świecą w słońcu kamienice
Niech obce myśli będą ci obce i odległe jak
Przychodzące co roku egzotyczne horyzonty
Wszyscy podróżują wszędzie
Uciekają przed sobą
To stanowczo za dużo dla ciebie
Myśl sam
Horyzont przed tobą opowie ci o nowej
tajemnicy.

Lubię to

Wczoraj ich widziałem na ekranie komputera
On święte teksty tłumaczył dosłownie
Ona ucierała macerat z masła i czosnku
Byli po modlitwach wilgotni od mgieł
Taki drobny szczegół: żyją w obcym mieście
Za oknem kołysze się nocny przechodzień
Chodzą nader spokojnie po malutkiej kuchni
Ona wciąż za nim w ciepłe swego swetra
Jakby chciała przeczekać chłody w poczekalni
Po podróżach przez wody, zatoki, cieśniny
Teraz są już blisko tacy niewidoczni
Zachwyceni gościami jak błękitną wodą
Wracają w posłania i śpią niewidocznie
Na suficie świecą klony i jesiony
Odbijają się ich twarze jak święte ikony.

Wraca

Znam takie fotografie poety Kavanagha
W czarnych rogowych okularach i w bereciku
wiejskim
Widziałem je w Dublinie jak stałem na
parkiecie
W pewnym muzeum literackim
Podobny był do szklarza – ojca mego kolegi
z podstawówki
Co na balonówkach jeździł od domu do
cmentarnego muru.

Wiodę cię na pokuszenie Martinie O'Cadhain
Pokaż się z wierszem Raglan Road
Na mojej drodze stań w butach z krowim
lajnem

Może napiszę w Grand Canal Dublin
Wiersz osobny, niepodobny do każdego co
powstał

Od początku świata?

Zanim to zrobię wbiję w belkę progę
Gwóźdź kilkucalowy – pieczęć mojej myśli
By wiersz rozpocząć od lajna i krowy.

Danuta Gil-Łowkis

Stefan (3)

– Pracuję tutaj. A ja nie wiedziałem, że Karol nadal jest w Warszawie – powiedziałem, nie protestując jej domysłów.

– Został na uczelni. A ty co robisz?

– Zajmuję się dziennikarstwem. – Zawód wymyśliłem na poczekaniu i oczywiście skłamałem.

– To ładnie. Ale wiesz co, Stefan, to dobrze, że cię spotkałam, bo nie mogłam zrozumieć i zawsze chciałam cię o to zapytać, dlaczego nie zaprosiłeś na swój ślub rodziców? Boże, jak oni się przygotowywali. Twoja mama uszyła piękną suknię, w której wyglądała jak prawdziwa dama. Tak bardzo chcieli z ojcem godnie zaprezentować twój dom, a tymczasem ty podobno nie przysłałeś im nawet zawiadomienia. Stefan, dlaczego? Powiedz, dlaczego? – pytała, uporczywie patrząc mi w oczy. – Tego już za wiele! – pomyślałem. Z każdą sekundą narastała we mnie złość, w końcu zacząłem mówić, dozując słowa: – A czy pani na ślub Karola zaprosi jego nieślubnego brata?

Rozwarła ze zdumienia oczy, a ja wyszedłem.

Wspominając to spotkanie, poruszyłem się w fotelu. Nigdy nie lubiłem Wiktorii, widocznie dlatego mimo upływu wielu lat ponownie poczułem satysfakcję z celnie wymierzonego ciosu. Należało się jej! Świętoszka jedna! Taka cicha i pełna obłudy. Żyła zawieszona między normalnym życiem a światem mamuśki zakochanej w dawnych czasach i nigdy nie mogła się zdecydować, kim chce być. – Zresztą, to nie moje sprawy – wymamrotałem i natychmiast siebie poprawiłem: – Chociaż nie! Tak to jakoś bywa, że czyjeś problemy skutecznie pomagają przeboleć nasze niepowodzenia, bo od tego dnia Kraków i niefortunny pobyt w domu przestały mnie gnębić, no i, jeżeli dobrze pamiętam, właśnie wtedy utwierdziłem się w przekonaniu, że w życiu nieważne są dni minionie, lecz wyłącznie te, które dzieją się dziś i które mamy przed sobą.

Rozbiegane myśli, czepiając się różnych momentów życia, nagle zaczęły wracać do Warszawy. Po co? Próbowałem to sobie wyjaśnić, ale rozpraszała mnie skrzypiąca na podwórku huśtawka i docierająca z daleka jakaś muzyka. Pytania plątały się. – Co to gra, radio czy jakiś inny samograj? I gdzie? – Rozglądałem się niewidzącym wzrokiem, lecz odpowiedzi nie szukałem zbyt wnikliwie, bo w oczach miałem już kolegów, przyjaciół, studenckie kluby, dziewczyny. Zawsze były fajne dziewczyny! Lubiły mnie, bo każdej prawiliłem komplementy. Przez chwilę nawet chichotałem, a później przypominałem sobie ten dzień, na pozór zwykły, jednak spośród wielu właśnie ten

utkwiał mi w pamięci.

Zacząłem wiercić się w fotelu i przebieierać nogami, jakbym chciał gdzieś pójść, i nagle ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie Jacka, chociaż on z tym dniem nie miał nic wspólnego. Kiedyś zapytał tylko, jakby od niechcenia, czy wiem, dlaczego tak ochoczo przyjęto mnie na warszawski uniwersytet. Ilekroć o tym myślę, zawsze zastanawiam się, na jak długo zasiada wiedza usłyszana w głębokiej młodości, a często nawet w dzieciństwie. Ktoś kiedyś przekonał mnie, że partia zawsze pomaga swoim. Byłem swój, więc mi pomogła. Dość długo tak myślałem, choć nie powiedziałem mu tego. Prawda była kompromitująco naiwna, a szczerłość wobec niego nie wchodziła w grę.

A dzień? Był szary, mglisty, jesienny. Na dziedzińcu odbywał się wiec. Stałem za firanką dodatkowo przysłonięty kotarą, ale czasami się zza niej wychylałem, ponieważ miałem kłopot z rozpoznaniem uczestników. Bardzo chciałem nie pomylić nazwisk. Ze względu na oczy szło mi to z trudem, bo pierwszy raz w życiu korzystałem z okularów i sam fakt ich posiadania bardzo mi przeszkadzał. Właśnie wtedy ją zauważyłem. Patrzyła wprost na mnie. Co za paradoks! Tyle lat, tyle ścieżek, a los nigdy w Warszawie nas nie zetknął, dopiero tego dnia. Siostra – Marysia. Dla mnie już dawno straciła urok Maleńkiej. Nawet nie wiedziałem, że jest w Warszawie, a tymczasem ona kończyła studia na uczelni po drugiej stronie ulicy. Wlepiła we mnie wzrok, który zawsze potrafił wysondować, co w człowieku siedzi. Zaskoczenie było paralizujące, bo nie chciałem, żeby mnie ktokolwiek zauważył, a tym bardziej rozpoznał. Początkowo miałem nadzieję, że zmylą ją okulary, ale nie. Tak jak ja poznałbym ją po koniuszku palca, tak i jej nie przeszkodziła szarówka, okulary i firanka wspomagana kotarą.

Zatopiony w zdarzeniu sprzed lat przestałem odbierać hałasy dobiegające z zewnątrz, zapadłem w ciszę, która nadawała wspomnieniom specyficzną wagę. Nie wiem, jak długo siedziałem w fotelu nieporuszony, może myślałem, że nareszcie doszedłem do tego, dlaczego nie lubię Marysi. Pamiętam jedynie ciszę i bezruch, jakby wszystko wokół zastygło, chociaż ze swej natury było nieruchome.

Jacek, pseudoprzyjaciel, powiedział bez krygowania się: – Skocz do dziekanatu, bo podobno przestałeś być studentem.

– Zgłupieli, czy co? – pomyślałem i zamiast do dziekanatu poszedłem wy badać sprawę w POP.

– Przyszedłem...

– Co ty tu jeszcze robisz? – przywitano mnie, przerywając w pół słowa. Udałem, że nic nie wiem, dlatego zapytałem: – Czy to dowcip? Kończyłem studia, ale miałem zaległy egzamin mający wyrównać różnice programowe. Ja o nim zapomniałem, a oni nie. Odnalazłem Jacka. Poprosiłem: – Pomóż mi. Ty znasz więcej ludzi. Wymyśl coś. – Zrobił kilka dziwnych min, kilka gestów i zdawać by się mogło, że ma jakiś pokrząpający pomysł. Tymczasem uraczył mnie informacją, którą pamiętam do dziś. Powiedział: – Stefan, głupio mi to mówić, ale może lepiej, że będziesz wiedział. Na uczelni chodzą słuchy, że to ty donosiłeś na chłopaków. Podobno zamierzają ci spuścić manto.

Tydzień później byłem już w Gdańsku. Dziesięcioletni pobyt poza Wybrzeżem przekształcił mnie w innego człowieka. Stałem się zamkniętym w sobie milczkiem.

Starych i nowych znajomości nie podtrzymywałem, przyjaciół nie szukałem. Żyłem jak odludek, na dodatek poza miastem, z czego byłem zadowolony, ponieważ dom, do którego się wprowadziłem, stał w pobliżu lasu, a ja zawsze lubiłem przyrodę. W budynku mieszkały trzy rodziny. Zająłem czwarty lokal, najmniejszy – dwa pokoje z kuchnią i łazienką, które w pełni zaspokajały moje potrzeby. Kontakt z sąsiadami miałem niezły, ale sporadyczny, a jedyną osobą, która czasami wpadała do mnie, zresztą bez zaproszenia, był Tomek, bo widocznie uważał, że skoro pomógł zdobyć i urządzić mieszkanie, jest nieomal współlokatorem.

Początkowo nadmierną ciszę w domu zagłuszałem muzyką, ale z biegiem czasu i ona zaczęła mnie drażnić, więc znalazłem inne wyjście – zacząłem wyjeżdżać na ryby. Kręcąc się po okolicy, odkryłem niewielką rzekę płynącą zakolami wśród drzew i młodych zarośli, tuż za płaskimi wzniesieniami pokrytymi zagonami zbóż. Znalazłem tu przestrzeń i zaciszne miejsce. Jedno z nich polubiłem szczególnie, zagospodarowałem je i zawsze tam rozbijałem namiot. W swoim siedzisku nad rzeką czułem się znakomicie, ponieważ byłem od ludzi oddalony, lecz istniała świadomość, że są blisko, tuż za miedzą. Jeździłem tam niemal w każdy wolny dzień i z czasem miejscowi zaczęli mnie uważać za swojego. Niektórzy przynosili owoce, przysiadali i gawędzili, a nawet zdradzali najlepsze miejsca na szczupaka lub węgorza.

W niedużej odległości od rzeki leżała wieś z piaszczystym placem, który odgrywał rolę rynku wyłącznie ze względu na przystanek autobusowy. To na nim wysiadałem i stąd z ogromną przyjemnością szedłem do swego

kącika ni to miedzami, ni to wąskimi zagonami rozdzielającymi pola, ponieważ rosły na nich w rzędach lub kępach krzaki dzikich róż, derenia i czarnego bzu. Między wsią i rzeką znajdował się wyraźnie wyższy pagórek, nazywany przez mieszkańców górą. Tam stał z lekka przysłonięty drzewami kościół, a przy nim mały parafialny dom.

Pewnego letniego dnia, niemal w samo południe, wracałem do siebie z siatką ziemniaków kupionych u zaprzyjaźnionego gospodarza. Tym razem obrałem inną drogę, bliżej kościoła, za którym skręciłem na ścieżkę między dwoma łanami pszenicy. Dalej ciągnęła się rozległa łąka. Gdy usłyszałem wołanie, byłem w pustej przestrzeni pozbawionej drzew. Głos z bliskiej odległości biegł w moim kierunku, ale ani przede mną, ani na horyzoncie nikogo nie było. Obróciłem się i wtedy bardzo wyraźnie usłyszałem swoje imię oraz zobaczyłem uśmiechniętego księdza machającego ręką. – Ki diabeł? – pomyślałem i chociaż księdzu najwyraźniej o mnie chodziło, nadal wypatrywałem kogoś wśród zbóż.

– No i co się tak rozglądasz? Ja się podobno nie zmieniłem, no a ty już niedługo będziesz starym dziadem. Nie lepiej było zostać dzieckiem? – pytał ksiądz, który w międzyczasie mnie dogonił. Roześmiałam się z twarzą skierowaną ku słońcu, patrzył, cierpliwie czekając.

– Ksiądz Deres... – wyszeptalem i wciąż bacznie przyglądając się, zapytałem: – Skąd ksiądz wiedział, że to ja?

– Najpierw chciałem zawołać „Józek”, ale od czego rozum. Zastanowiłem się i wyszło, że to musisz być ty, nie Leszek, bo on od dziecka inaczej się poruszał, a ty zupełnie jak ojciec – wyjaśnił.

Rozmowa chwilę trwała. – Zadziwiające spotkanie – kręciłem głową, patrząc na Deresa.

– Oj Stefan, Stefan! W życiu zdarzają się dziwniejsze rzeczy. Jeszcze się o tym przekonasz. A teraz mógłbyś zdradzić, co tu robisz? – Łowią ryby. Nad rzeką mam namiot – powiedziałem, a on natychmiast zaoferował gościnę na plebanii. Odparłem, że jestem już przyzwyczajony do noclegów nad rzeką, ale obiecałem przyjść z wizytą. Zapytał jeszcze o ojca. Wpadłem na pomysł, że tata nie żyje i że mama cały czas siedzi u znajomych na Mazurach.

Przez to spotkanie skróciłem pobyt. W domu było mi łatwiej zastanowić się, co powinienem zrobić, żeby wybrnąć z sytuacji. Ze swojej rzeki zrezygnować nie miałem ochoty, ale o rodzinie prawdy powiedzieć też nie zamierzałem. Byłem zły, że uśmierciłem ojca, ale gdybym powiedział prawdę – usprawiedliwiłem siebie – to za kilka dni ten dziarski księżulo na pewno byłby w Gdańsku, a do tego dopuścić nie chciałem. Zatem należało skonstruować całą historię na tyle spójną, by okazała się wiarygodna, a wszystko po to, żeby nadal jeździć na ryby w ulubione miejsce.

Tak zaczęła się nasza historia. Po jakimś czasie zajrzałem do niego. Przyjął mnie całym sercem i tym, co miał, a zgodnie z prawdą, nie miał nic. Od dawna żył jak mnich, o siebie nie

dbał, istniał wyłącznie po to, by troszczyć się o parafię. Powitał mnie informacją: – Zaraz po naszym spotkaniu odprawiam mszę za Józefa. Myślałem, że się zjawisz, że tak wcześnie nie wyjedziesz. Ale to nic. Jutro odprawimy drugą, pomodlimy się razem.

O takim efekcie kłamstwa nie pomyślałem. Dziękowałem, piłem kawę i ustalałem godzinę kolejnej mszy, a we wnętrzu coś bulgotało, coś swym buntem zawstydzalo.

Spotkania powtarzały się, były coraz ciekawsze. Deres, tak jak ja, interesował się malarstwem, ale z różnych spotkań, ze względu na podobną wrażliwość na piękno przyrody, utkwiło mi w głowie jedno.

To był początek lata. Nic nie zapowiadało nadzwyczajnej pogody. Co rusz niebo raczyło ziemię deszczem, ale w końcu chmury rozbiegły się w różne strony, zostawiając po sobie nieprzyprószonej najmniejszym pyłkiem błękit. Sypnęło żarem. W ten pogodny czas, na przełomie czerwca i lipca wziąłem urlop i zjechałem nad rzekę na cały miesiąc. Moje stałe miejsce uzupełniłem o palenisko zbudowane z kamieni i darowanego przez kogoś rusztu ze starego pieca. Odkąd mogłem zostawiać na plebanii turystyczny ekwipunek, zmieniłem namiot w małego na duży z obszernym przedścionkiem, w którym trzymałem z jednej strony sprzęt wędkarski, a z drugiej przybory i zapasy kuchenne.

Któregoś bardzo wczesnego ranka, gdy byłem między snem a jawą, usłyszałem jakby hurkot. Pierwsza, jeszcze mało świadoma myśl podsunęła mi obraz kamieni toczonych przez rozszalałą wodę, w dodatku tuż pod namiotem. Rozsunąwszy zamek, wychyliłem głowę, by zetknąć się nos w nos z Deresem.

– Masz jakąś patelnię? Bo ja tak sobie szedłem, a tu takie piękne kanie! Widzisz? – zapytał, pokazując dorodne, wielkości talerza, mięsiste czapy. – Więc, jeżeli masz patelnię, to przyrządź pyszne jedzenie. Ogień rozpałiłem.

– Która godzina? – rzuciłem, ziewając. – Coś koło piątej – odpowiedział tak naturalnie, jakby to była właściwa pora na śniadanie. – Koło piątej?! To po co...

Nie skończyłem, bo przebłyskiem świadomości pojąłem, do kogo mówię. W tej sytuacji należało na dobre otworzyć sklezione snem oczy, co starałem się zrobić między jednym a drugim ziewnięciem, i gdy się to po części udało, zamruczałem, kręcąc się bezradnie: – Ale ja chyba mam coś podać. Patelnię? Tak? Czy tylko patelnię? – pytałem, by upewnić się, że taka prośba naprawdę padła. – No, jakbyś miał, to jajko i jakiś talerzyk, bo muszę je zrobić. Przyrządzone jak kotlety są smaczniejsze.

Chód ranka pomógł mi podjąć sensowniejszą decyzję. Podpiąłem kłapę namiotu i zapraszając Deresa, powiedziałem: – Proszę księdza, tu jest cały mój kuchenny kram. Proszę się gospodarzyć, a ja skoczę do wody, bo skoro się obudziłem, to wypada się umyć.

– No tak, no tak. Idź! – przytaknął i dodał: – Nim się wychłapiesz, ja przygotuję śniadanie. Od tego dnia spotykaliśmy się nad rzeką czę-

ściej. Pory były różne, zależały od Deresa, od czasu, który mógł poświęcić sobie. Siadaliśmy przed namiotem w przekonaniu, że prowadzimy ciekawe rozmowy, że gawędzimy o świecie i ludziach, gdy tymczasem obaj chcieliśmy coś znaleźć lub od czegoś uciec. Różniły nas koleje losu, zasób doświadczeń związanych z wiekiem, charaktery i pragnienia, ale potrzebę bliskości drugiego człowieka mieliśmy wspólną. Ważne było więc to, że jesteśmy razem.

Prawdziwych powodów spotkań nie dociekałem, sądziłem, że łączą nas strzępki wspomnień sprzed lat i sympatia, skądinąd niczym niepotwierdzona.

Polubiłem te spotkania, szczególnie wieczorne, przy ognisku, przy kolorowym niebie i zachodzącym słońcu, które wieczorami świeci na opak – nie z góry, a z dołu i nie po to, by wydobyc jakiś godny pokazania szczegół, lecz by go ukryć. Któryś z nas zauważył, że słońce, zanim schowa się za horyzont, lubi pożartować, bo chyba tylko z przekory tak operuje delikatnym światłem, by owijając aksamitem dzikie kwiaty palki wodnej, uszlachetnić je, by zwykle patyki pozamieniać w buławy, za którymi stoją pułki zbrojne w zielone szable. Dość często komentowaliśmy zaobserwowane zjawiska, jednak najczęściej porzucaliśmy rozmowę, by wsłuchać się w delikatny szum rosnących przy brzegu trzcin lub podziwiać wstęgę rzeki przekształconej kuglarskimi sztuczkami w rozwinięty kupon mieniącego się, przedniego jedwabiu. Wtedy zazwyczaj każdy z nas nieruchomiał. To były krótkie chwile, w których realizowała się tkwiąca gdzieś pod skórą potrzeba zespolenia z piękną i pełną niespodzianek naturą.

Raz zaskoczył nas deszcz. Schowani w namiocie czekaliśmy, sądząc, że ta nagła ulewa minie, a tymczasem rozpadało się na dobre. Dla zabicia czasu graliśmy w karty, przy których zastała nas noc. To właśnie wtedy Deres, odchodząc do domu, wpadł na pomysł zorganizowania nocnego połowu. Był w wieku mego ojca, ale miał lepsze zdrowie lub taki charakter, który nie pozwalał myśleć o chorobach i starości.

Deres doskonale znał rzekę, wiedział więc, że trochę w górę od namiotu, w lesie, jest mały skrawek brzegu oczyszczony przez kogoś z zarośli, akurat taki, by urządzić tam łowisko. Przed umówionym dniem sprawdziłem, czy dno jest czyste, czy gałęzie rosnących drzew nie zwisają zbyt nisko i czy trzeba się dodatkowo w coś zaopatrzyć. Chciałem dokupić drugie krzeselko z oparciem, bo jedno już było. Ostatecznie swoje oddałem księdzu, a sam postanowiłem przesiedzieć noc na mniejszym, niewygodnym składaku. Pamiętałem też o jedzeniu, przygotowałem sporo kanapek, żeby starczyło dla obu.

cdn.



Katarzyna Eremus

Automobilem przez Europę

„Z wrażeń felietonisty” Mariana Gawalewicza (2)

Ach, prawda!... czytelnikowi na bardzo głębokiej prowincji muszę wytłumaczyć wpiery, co to jest automobil; jest to *dernier cri* lokomocji, jest to jaskółka zamieniona w podróżną karocę; jest to gołąb pocztowy wykuty z żelaza i osadzony na czterech kołach, jest to kieszonkowy ekstra-pociąg do prywatnego użytku, jest to naturalny syn lokomotywy i roweru, jest to jednym słowem nowe wcielenie tego niespokojnego ducha naszej epoki, która się spieszy i spieszy, nie wiadomo dokąd i po co, byle tylko pędzić przed siebie, choćby na złamanie karku i gonić za czymś nieuchwytnym, co go nęci, kusi i pociąga.²⁴

Zamieszczony w utworze opis samochodu miał przybliżyć nowy środek lokomocji tym czytelnikom, którzy o nim wcześniej nie słyszeli lub posiadali jedynie ogólne, nieraz odbiegające od prawdy informacje. Gawalewicz w kilku słowach przedstawił zewnętrzny wygląd pojazdu. Dla nieobebranego z nowościami technicznymi obserwatora automobil mógł wydawać się zwyczajnym powozem. Pisarz przyznawał, że rzeczywiście samochody w dużym stopniu przypominały tradycyjne pojazdy konne, a między sobą różniły się wymiarami i kształtem. Zabierały również podobną do powozów liczbę pasażerów. Można było nawet uznać, że w zasadzie samochód to powóz, do którego nie zaprzężono koni. Skojarzenia nie były zresztą bezpodstawne – na początku XX wieku dopiero kształtował się podział samochodów pod względem kształtu nadwozia, maksymalnej liczby przewożonych pasażerów oraz sposobów ich usadowienia w pojeździe.²⁵

Otóż czasem wygląda, jak pospolita kareta, jak omnibus ze szklanymi ścianami, czasem jak dwie wsunięte w siebie kołyski z huśtawką starego stylu, czasem znów, jak żelazna łódka na kołach, albo torpedowiec, w zasadzie zaś zawsze, jak wehikuł, do którego zapomniano założyć dyszla i zaprzęć koni.²⁶

Sam zewnętrzny wygląd pojazdu był jednak mylący. Choć pod wieloma względami przypominał zwykły powóz, posiadał cechy, które zdecydowanie odróżniały go od tradycyjnych środków transportu. Gawalewicz zwracał uwagę przede wszystkim na osiąganą prędkość. Zdaniem pisarza, to ona stanowiła najważniejszą przyczynę tzw. *automobilomanii*.²⁷ W ciągu dwudziestu lat, które upłynęły od podróży pani Benz, nastąpił szybki rozwój motoryzacji. Stale wzrastał popyt na samochody. Powstawały kolejne fabryki, rywalizujące między sobą o pozyskanie klienta. Zatrudniani w nich inżynierowie pracowali nad

ciągłym modernizowaniem i ulepszaniem pojazdów, które dzięki wykorzystaniu nowych rozwiązań technicznych stawały się szybsze. Dla poprawy osiągnięć miały znaczenie również coraz popularniejsze wyścigi oraz rajdy samochodowe. W okresie powstawania *Z wrażeń felietonisty* niektóre pojazdy uczestniczące w wyścigach osiągały już prędkości w granicach 100 km/h.²⁸ Gawalewicz dostrzegał, że jazda samochodem budziła w podróżujących pragnienie osiągnięcia coraz to większych prędkości, dających poczucie indywidualnego zwycięstwa nad czasem i przestrzenią. Podkreślał, że pragnienie to nigdy nie zostanie zaspokojone, ponieważ tak naprawdę żadna prędkość nie będzie w pełni satysfakcjonująca. Zauważał nieustającą chęć rywalizacji, mającej na celu ciągle przyspieszanie, pokonywanie wcześniej istniejących ograniczeń, a także konkurowanie z innymi kierowcami. Rozwijana prędkość, wcześniej niewyobrażalna i nieosiągalna, dawała poczucie swobody i dumy, które uzależniały niczym nałóg.

Człowiek doznaje rozkoszy, która go roznamiętnia: jak nałogowy pijak tym większe uczuwa pragnienie, im więcej kieliszków wychyla, tak automobilista tym bardziej się rozpala, im szybciej pędzi samochodem, który pozwala mu zatriumfować nad czasem i przestrzenią. (...)

Sześćdziesiąt, sto, sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, cóż to znaczny!... trzeba podwoić, potroić tę szybkość, aby świat przebiegać chyżo, jak głos, jak światło, jak myśl sama, bo to dopiero rozkosz nad rozkoszami.²⁹

Jak już zostało wspomniane, *Z wrażeń felietonisty* jest utworem, który łączył humorystyczny opis podróży samochodowej z informacjami adresowanymi do potencjalnego turysty. Dotyczyły one miejscowości mijanych podczas drogi oraz tych, gdzie pozostawano na nocleg. Pisarz nie powielał wiadomości znanych z przewodników turystycznych, za to kilkakrotnie odsyłał czytelników do Bedekera.³⁰ Władysław Rabski w zamieszczonej w „Kurjerze Warszawskim” recenzji słusznie zauważał, że jedną z niepodważalnych zalet utworu było pomijanie przez Gawalewicza znanych, a przez to niezbyt interesujących dla czytelnika informacji o muzeach czy hotelach.³¹ Zamiast nużących, suchych informacji turystycznych, pisarz skupił się na indywidualnych obserwacjach i spostrzeżeniach dotyczących miejsc, spotykanych mieszkańców oraz wydarzeń z ich udziałem.³² Większa część opisów została utrzymana w lekkim, humorystycznym tonie. Niektóre odnoszą się do wydarzeń związa-

nych z wojną francusko-pruską z 1870 roku; w nich dominowała smutna refleksja i pełne szacunku wspomnienie poległych. Podczas drogi przy granicy z Prusami Gawalewicz widział zarówno groby poległych, pomniki oraz inne znaki działań wojennych³³, które rozegrały się na tych ziemiach niemal czterdzieści lat wcześniej. Słusznie zauważał, że to właśnie jazda samochodem umożliwiła mu zobaczenie tych wojennych pamiątek, oddalonych od głównych szlaków kolejowych. Gdyby podróżował pociągiem, nie mógłby również zwiedzić wielu interesujących miejscowości, pozbawionych połączenia kolejowego. Jego zdaniem samochód korzystnie wpłynął na sposób poznawania nowych obszarów. Turyści nie musieli już trzymać się tras wyznaczonych liniami kolejowymi. Warto przypomnieć, że najstarsze trasy łączyły najczęściej stolice, duże miasta i uzdrowiska, a także obszary przemysłowe; nie bez znaczenia dla budowy nowych torowisk było planowanie strategiczne na wypadek konfliktu zbrojnego.³⁴ Samodzielne układanie trasy przejazdu pozwalało odwiedzać te miejsca, których nie wymieniały przewodniki turystyczne. Dzięki temu możliwe stało się poznawanie innego kraju nie tylko od strony znanych miast oraz kurortów, ale również codziennego życia w oddalonych od głównych szlaków komunikacyjnych miejscowościach, których przed rozwojem motoryzacji były omijane. Ze względu na poszerzenie perspektyw turystycznych i możliwość indywidualnego planowania trasy, pisarz znacznie wyżej cenił podróże samochodowe od kolejowych, choć do niedawna to pociągi uchodziły przecież za najnowocześniejsze i najlepsze osiągnięcie w dziedzinie transportu oraz komunikacji.

Ludzie jeżdżący koleją (mówię dziś o nich z pewnym politowaniem), poznają dany kraj w swoich podróżach mniej więcej tak samo, jak goście poznają dom, do którego przychodzą z wizytą etykietałną; przyjmuje się ich zazwyczaj w salonie, czasem wprowadza do gabinetu i zaprasza do stołowego pokoju na przekąskę.³⁵

Gawalewicz opisywał nie tylko same automobile, ale również zmiany, jakie spowodowały w infrastrukturze drogowej oraz miejskiej, również w mniejszych miejscowościach. Zachwycał się rozwiązaniami wprowadzonymi w tej dziedzinie we Francji, które ułatwiały podróż, jednocześnie czyniąc ją bezpieczniejszą. Podkreślał doskonały stan dróg, w wielu przypadkach już dostosowa-

nych do potrzeb samochodów.³⁶ Za niezwykle przydatne uważał umieszczane przy drogach znaki drogowe, informujące o niebezpiecznych miejscach i zalecające podjęcie odpowiednich działań, aby zapobiec wypadkom.³⁷ Coraz łatwiej przychodziło też znaleźć garaż dla samochodu przy zajazdach i hotelach, a także kupić benzynę sprzedawaną na litry od przydrożnych sprzedawców – wcześniej paliwo można było nabyć w aptekach lub drogeriach.³⁸ Gawalewicz popierał zaobserwowane we Francji zmiany ułatwiające podróżę samochodowe. Co więcej, uważał, że powinny one stać się standardem również w innych krajach. Jako negatywny przykład przywoływał sytuację w Niemczech, gdzie znalezieniu zadaszonego miejsca postojowego czy odpowiedniego paliwa towarzyszyły zdecydowanie większe trudności.

Gdyby w raju nie było szerokich gościńców makademizowanych i gładkich, jak posadzka, szanujący swą maszynę „samochodnik” wolałby piekło, choćby tylko dobrymi chęciami brukowane.

Po francuskich drogach jeździ się jak po stole (...). Specjalne karty i przewodniki drukowane wskazują, którędy najwygodniej i najbezpieczniej potoczy się samochód, przy każdym zakręcie, każdym spadku stoją tablice wzdłuż drogi (...) ostrzegające: „Tu hamuj! Tu zwalnij! (...)”.

Wszędzie na ważniejszych przystankach można być pewnym, że w najmniejszej mieścinie znajdzie się wygodna wozownia (*garage*) na pomieszczenie automobilu i że maszyna nie ustanie w drodze z głodu, bo ją łatwo nakarmić benzyną, sprzedawaną na litry przez przydrożnych przekupniów.

Akcentuję ten szczegół tym bardziej, iż przekroczywszy granicę francuską, w Państwie porządku, bojaźni Bożej i dobrych obyczajów, łatwiej o piwo i o aroganckiego junkra, aniżeli o benzynę i o przytułek dla samochodu.³⁹

W utworze kilkakrotnie powracał temat stanu dróg oraz ich oznakowania. Pisarz podkreślał, jak duże znaczenie dla ruchu samochodowego ma infrastruktura drogowa. W początkowym okresie rozwoju motoryzacji samochody mogły poruszać się bez przeszkód głównie po drogach brukowanych, czyli przede wszystkim w miastach lub na najważniejszych trasach łączących większe miejscowości. Konstrukcja kół samochodowych stale ewoluowała, udoskonalano również opony, które z biegiem lat uzyskiwały coraz lepszą przyczepność do nawierzchni i wytrzymałość na uszkodzenia.⁴⁰ Mimo to samochody w dalszym ciągu o wiele sprawniej poruszały się po twardym podłożu. Gawalewicz zwracał uwagę na konieczność modernizacji dróg ze względu na rozwijającą się motoryzację, która według niego była koniecznym kierunkiem ewolucji w komunikacji i transporcie. Zauważał też, że wykorzystywane w infrastrukturze drogowej rozwiązania, służące usprawnieniu jazdy pojazdów konnych, nie sprawdzały się w przypadku samochodów. Do takich zaliczał między innymi stosowane na niemieckich drogach progi, stanowiące podparcie dla

wozów na stromych fragmentach dróg. Pisarz przyznawał, że ten sposób ograniczania prędkości pojazdów konnych służył poprawie bezpieczeństwa. Nie miał jednak zastosowania w przypadku pojazdów silnikowych, korzystających z mechanicznego napędu i posiadających nowocześniejsze, lepsze hamulce. Według niego przeszkadzało ono nawet podczas jazdy, zmuszając kierowcę do niepotrzebnego zwalniania, gdyż w przeciwnym wypadku wstrząsy spowodowane przez zbyt szybkie najechanie na przeszkodę powodowały dyskomfort podróżujących.

Otóż ci inżynierowie niemieccy wpadli na pomysł, że na spadzistych drogach należy kłaść wypukłe, mniej lub więcej, progi, aby się wozy na czym oprzeć miały, gdy hamulec nie wystarcza.

Nie przeczę, że dla pospolitych wehikułów, które jeszcze potrzebują pociągowej siły w koniach, takie progowate drogi oddają nawet niemalą przysługę, ale automobil (...) nie potrzebuje tego rodzaju podpórki.

Przeciwnie, one go kępują w ruchu; on dostaje formalnej czkawki, kiedy rozpędzony natrafi na takie żebro w gościńcu, przeskakuje je na pół łokcia figlarnie, a wtedy to żeberko niemieckiej szosy staje kością w gardle automobilu, skazanemu (...) na tłuczenie pieprzu w sposób często bolesny, a zawsze bardzo niemili.⁴¹

Kwestia dróg niedostosowanych do nowego sposobu podróżowania, utrudniających jazdę samochodem, według pisarza stanowiła jeden z powodów, dla których motoryzacja na ziemiach polskich nie rozwijała się równie intensywnie, jak w krajach Europy Zachodniej. Jego zdaniem nie była to jednak wyłączną przyczyną tego stanu rzeczy. Do równie istotnych czynników zaliczał odmienne pojęcie wartości czasu u Polaków, co przekładało się na mniejszy pośpiech i wolniejsze tempo życia. Nie bez znaczenia był także niższy poziom zamożności społeczeństwa. Gawalewicz podkreślał, że samochód to jednak spory wydatek; w ówczesnych latach należało do dóbr luksusowych, na które pozwolić sobie mogli jedynie ludzie zamożni.⁴² Należy podkreślić, że przełom XIX i XX wieku to okres, kiedy na ziemiach polskich stabilizowała się nowa struktura społeczna. Zmalała rola szlachty, dotąd dominującej w społeczeństwie pod względem finansowym.⁴³ Na znaczeniu zyskały grupy przedsiębiorców oraz finansistów.⁴⁴ Przekształceniu uległa także gospodarka. Zmiany w dużym stopniu dotknęły wieś i posiadłości ziemskie, gdzie uwłaszczenie wymusiło modernizację rolnictwa, wcześniej oparte głównie na darmowej pracy chłopów.⁴⁵ Nie zawsze udawało się przystosować do nowych warunków ekonomicznych. Często upadały majątki, zrujnowane przez nieumiejętne zarządzanie finansami oraz przywiązywanie do tradycyjnego, wystawnego stylu życia.⁴⁶ Coraz częściej szlachta stawała wobec konieczności podjęcia pracy zarobkowej.⁴⁷ Załamywał się również tradycyjny model rodziny, gdzie do zajęć pani domu należały przede wszystkim opieka nad

dziećmi i wykonywanie obowiązków domowych.⁴⁸ Pogorszenie sytuacji materialnej zmusiło również kobiety do poszukiwania pracy przynoszącej rodzinie dodatkowy dochód, chociaż aktywizacja zawodowa środowisk kobiecych niejednokrotnie spotykała się z oporem i wywoływała liczne dyskusje o charakterze ekonomicznym i obyczajowym.⁴⁹

cdn.

²⁴ M. Gawalewicz, *op. cit.*, s. 6.

²⁵ Zob. W. Rychter, *op. cit.*, s. 96.

²⁶ M. Gawalewicz, *op. cit.*, s. 7.

²⁷ *Ibidem*, s. 8.

²⁸ Zob. W. Rychter, *op. cit.*, s. 151.

²⁹ M. Gawalewicz, *op. cit.*, s. 8-9.

³⁰ Zob. *ibidem*, s. 70.

³¹ Zob. W.R. [W. Rabski], *op. cit.*, s. 3.

³² Gawalewicz zwracał uwagę nawet na takie mało istotne z perspektywy przewodników turystycznych szczegóły, jak natrętnie pojawiające się na murach i ścianach domów czy kamienic reklamy nakłaniające do zakupu określonego typu czekolady. Zob. M. Gawalewicz, *op. cit.*, s. 43-44.

³³ Zob. *ibidem*, s. 27-31.

³⁴ Zob. A. Mączak, *op. cit.*, s. 218-221.

³⁵ M. Gawalewicz, *op. cit.*, s. 16.

³⁶ Sieć utwardzanych dróg francuskich, rozbudowana jeszcze za czasów Napoleona na potrzeby prowadzonych wówczas kampanii, stwarzała we Francji dogodne warunki do rozwoju motoryzacji, lepsze niż w innych krajach europejskich czy w Stanach Zjednoczonych. Zob. W. Rychter, *op. cit.*, s. 104-108.

³⁷ Na początku XX wieku we Francji istniało oprócz drogowyskasków 14 znaków drogowych o charakterze lokalnym. Z inicjatywy ministerstwa robót publicznych w 1909 roku rozpoczęto prace nad kodeksem drogowym, który ustanowił pierwsze pięć znaków drogowych. Zob. M. Rynowicki, *Historia znaków drogowych*, „Automobilista” 2004, nr 2, s. 26-27.

http://www.znaki-drogowe.pl/historia_znakow_drogowych_cz_pierwsza.pdf, dostęp z dnia 26.09.2014.

³⁸ Dopiero po pierwszej wojnie światowej zaczęto budować przy drogach stacje paliw z mechanicznymi dystrybutorami paliwa. Zob. W. Rychter, *op. cit.*, s. 300.

³⁹ M. Gawalewicz, *op. cit.*, s. 19-20.

⁴⁰ Zob. W. Rychter, *op. cit.*, s. 137-142.

⁴¹ M. Gawalewicz, *op. cit.*, s. 39-40.

⁴² Zarówno w Europie, jak i w Ameryce, zwracano uwagę na wysokie ceny samochodów; pojazdy zaliczono często do przedmiotów luksusowych. Zob. W. Rychter, *op. cit.*, s. 184.

⁴³ Pomimo upadku znaczenia szlachty pod względem finansowym, tytuł szlachecki jeszcze do I wojny światowej wiązał się z pewnym prestiżem społecznym. Zob. M. Eckert, A. Nadolny, W. Stobrawa, *Historia gospodarcza i społeczna świata*, Zielona Góra 1993, s. 108.

⁴⁴ Zob. *ibidem*.

⁴⁵ Uwłaszczenie chłopów oznaczało wzrost kosztów uzyskania przychodu dla właściciela majątku, który musiał zatrudniać do pracy płatnych pracowników. Zob. A. Skrzypek, *Historia społeczna Europy XIX i XX wieku*, Poznań 2009, s. 23-24.

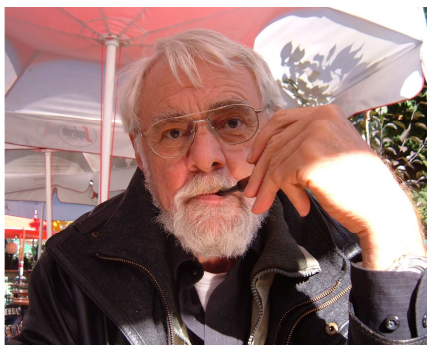
⁴⁶ Zob. S. Siekierski, *Kultura szlachty polskiej w latach 1864-2001*, Pułtusk 2003, s. 38-49.

⁴⁷ Pracy poszukiwano także w zawodach, które uważano za niegodne lub niewłaściwe dla człowieka z tytułem szlacheckim. Do takich należały między innymi zajęcia związane z handlem. Zob. M. Eckert, A. Nadolny, W. Stobrawa, *Historia gospodarcza i społeczna świata*, s. 86.

⁴⁸ Zob. E. Kokoszka, „Anioł w domu” czyli o małżeństwie w wiktoriańskiej Anglii, [w:] *Kobieta i małżeństwo. Społeczno-kulturalne aspekty seksualności...*, s. 144-145.

⁴⁹ Praca zawodowa mężatek budziła największe kontrowersje, ponieważ odrywała je od obowiązków domowych. W mniejszym stopniu kwestionowano pracę kobiet niezamężnych, które nie mogły liczyć utrzymania męża czy rodziny. Zob. R. Bednarz-Grzybek, *Emancypantka i patriotka. Wizerunek kobiety polskiej przełomu XIX i XX wieku w czasopiśmie Królestwa Polskiego*, Lublin 2010, s. 37.

Zamyślenia



Kto w płomieniach, kto w odmętach

Zapewne nie trzeba przedstawiać czytelnikom GK Leonarda Cohena. Znałe są już ballady tego wspaniałego pieśniarza tłumaczone przez Macieja Zębatego i Macieja Karpińskiego. Wielu z nas było na jego koncercie w Polsce w Sali Kongresowej lub we Wrocławiu. Jak wspominali obaj tłumacze jego ballad, wrocławski koncert był najtrudniejszy dla Cohena... Tu przecież odcisnięte były podłe ślady hitlerowskich przywódców Trzeciej Rzeszy. Jak wspominał Maciej Zębata: „Nasz gość miał tego pełną świadomość, a nawet wrażenie, że duch tamtych postaci, Hitlera i innych katów były w tym miejscu obecne”. I rzeczywiście, Cohen jakby nie był sobą, przynajmniej w pierwszej części koncertu. „Denerwował się, sztywniały mu palce, zaś jego nastrój musiał udzielać się zespołowi. Wpadł jednakże na pomysł i kiedy po przerwie znalazł się na estradzie, powiedział: »Wiem, kto tu przede mną występował, ale pomiędzy mną a Hitlerem jest różnica, Hitler nie umiał śpiewać«”. I rzeczywiście ten żart rozładował sytuację. Cohen grał na gitarze firmy Ibanez. To instrument znakomicie trzymający strój. Czasami, podczas trzygodzinnego koncertu nie było takiej potrzeby, aby korygować strojenie gitary.

Przypomnijmy, Cohen urodził się 21 września 1934 roku w Montrealu. Jego rodzina wyemigrowała z Polski do Kanady po I wojnie światowej. A że był to kraj szerokich możliwości, szybko dorobiła się majątku. Rodzice pragnęli, aby ich syn zajął się rodzinnym interesem, ale jego powołaniem okazała się literatura. Ukończył studia na Uniwersytecie McGill na wydziale ekonomicznym, ale pociągnęła go poezja. Pierwszy swój tomik wierszy „Porównajmy mitologie” wydał w wieku 22 lat.

Młodość była zafascynowana tym tomikiem nie tylko w Kanadzie, ale i w Stanach. Otrzymuje wiele propozycji spotkań autorskich. Powstaje nawet etiuda filmowa o nim: „Ladies and gentlemen – Mr. Leonard Cohen”. Działając aktywnie w ruchu wyzwolenia Murzynów, na Kubie zastaje go inwazja w Zatoce Świń. Przyjaźnił się z przywódcą

Czarnych Muzułmanów Malcolmem X, który jako białemu oferuje tekę... ministra turystyki. Wówczas jego pierwsza płyta „Songs of Leonard Cohen”, którą wydała za namową Judy Collins, odnosi ogromny sukces. Staje się poetą... światowym. Szczególnie przyczynia się do tego słynna do dziś ballada o Zuzannie. Teraz wie, że z pisanie książek nie wyżyje nawet w Ameryce, gdzie tak łatwo zdobywa się fortuny z dobrego pisanie. Ale uczestniczy intensywnie w tradycyjnym miejscu spotkań artystycznych bohemy w Chelsea, gdzie strzępiło się języki na sprawach ducha (u nas świat bohemy dawno umarł i w tych czasach to świat wzajemnej adoracji i wzajemnych korzyści). W roku 1976 udaje się do Izraela, biorąc udział w wojnie izraelsko-egipskiej. W rok później nagrywa płytę „Death of a ladies’ man”, ale była ona przychylnie przyjęta ze względu na zmianę środków wyrazu. To już nie ten stary, cudowny styl „cohenowski”. Ale już następna płyta (1979) „Recent songs” zmazuje tamte niepowodzenia. Także następna płyta „Gypsy’s wife” przynosi kolejny sukces. I po nim zapada cisza twórcza, jak to czasami bywa u twórców. To po prostu „najdłuższe wakacje w życiu”.



Rys. Kazimierz Iwosse

Leonard Cohen

Nie przesympia tego okresu czasu. Myśli, medytuje, nanosząc to wszystko na papier. Jest pod działaniem i urokiem działającego wtedy na Zachodzie mistrza buddyzmu Zen, Maisumi Roszi. Mistrz szuka mistrza. Szuka w nim siebie, swojego świata. Sięga po uniwersalną tematykę filozoficzną. Oto stawia podmiot swej twórczości poetyckiej – jednostkę, a równocześnie siebie, jako osobę wobec absolutu i tajemnicy wobec Boga. Czy staje się poetą religijnego nurtu? Poetą składającym się ku jednej określonej religii, jednemu systemowi filozoficznemu? To fakt, Cohen czerpie pełnymi garściami inspirację zarówno z religii chrześcijańskiej, jak i judaizmu, także po trosze z buddyzmu Zen. Jedno jest pewne, że w swoich utworach niewątpli-

wie odzwierciedla ów trudny, czasami bolesny proces dochodzenia zwykłego człowieka do jego Boga. Jako Żyd, którego rodzina osiadła ongiś na wschodnich rubieżach naszego kraju, w dorastającym chłopcu owo przenikanie się i ścieranie kultur, tradycji, języków i najważniejsze religii, wszystko to miało przemożny wpływ na jego psychikę. Znajdując się potem w Kanadzie, państwie również wielonarodowym, z tym różnorodnym obliczem kulturowym i religijnością, wszystko to musiało wrywać się w postawę poety. Nic dziwnego, że staje się twórcą uniwersalnym, zaś jego twórczość musi dawać nam materiał do przemyśleń. Nic dziwnego, że treści poetyckiego świata Cohena, tembr jego głosu, zaśpiew gitary, wszystko to potraça w nas własną strunę duchowego przeżycia i za to właśnie go kochamy. Przystojny, zawsze na czarno obrany pan z papierosem w ustach (pali dużo marlboro), z lampką czerwonego wina w ręku, rozmawia z nami na estradzie o tym wszystkim, co jest takie piękne na tym świecie i co bywa też nikczemne...

Kazimierz Iwosse

Leonard Cohen

Kto w płomieniach (Who By Fire)

Kto w płomieniach, kto w odmętach,
kto w blasku słońca, kto w ciemnościach,
kto w ciężkiej próbie, kto ot tak sobie,
kto w pięknym, pięknym maju, kto
w powolnym konaniu,
i jak nazwać tego kto wzywa?

Kto w kościelnej ławie, kto z
umiarkowania,
kto z miłości, kto z wściekłości,
kto pod lawiną, kto pod pyłem,
kto z przepicia, kto z pragnienia
i jak nazwać tego, kto wzywa?

Kto pogodzony, kto zaskoczony,
kto w pustelni, kto przed zwierciadłem,
kto z rozkazu swej pani, kto z własnej
ręki,
kto w śmiertelnym strachu, kto w blasku
potęgi
i jak nazwać tego kto wzywa?

Przekład:

Maciej Karpiński i Maciej Zębata



We śnie i na jawie, po meandrach bytu

Powszechnie znane przekonanie, że poezja bliska jest filozofii, znów towarzyszy mi podczas lektury wierszy. Nic dziwnego, bowiem mam w rękach najnowszą książkę **Ignacego Stanisława Fiuta** – tom poetycki zatytułowany „Moje sny i inne wiersze”. Prezentuje on czytelnikom zbiór bardzo interesujących, charakterystycznych dla tego utalentowanego krakowskiego poety – filozofa, wierszy. Można by dodać: „jak zwykle”. Zaryzykowałabym też prywatne stwierdzenie, iż nie pomyliłabym tej poezji z utworami innych autorów. Mimo że autor „Czasu na egzorcystę” – jak każdy wytrawny pisarz – wciąż poszukuje nowych środków wyrazu i tematów dla swojej twórczości, ukazując w niej coraz to nowe problemy otaczającego świata, a także własne przemyślenia na ich temat oraz swój, często bardzo emocjonalny stosunek do rzeczywistości.

Tytuł omawianej publikacji sugeruje czytelnikowi, że na jej kartach znajdzie poetyckie opisy snów, każe mu też poszukiwać różnych znaczeń pojęcia „sny”, bo wszak poeta często bywa niedosłowny...

Pierwszym krokiem w naszej wędrówce po „Świecie snów” Ignacego S. Fiuta niech będzie lektura otwierającego tomik wiersza zatytułowanego „Moje sny”:

*przychodzą i odchodzą
kuszą i straszą
pieszczą i pieką
w oczy*

*przyspieszają bicie serca
usypiają antynomie rozumu
wodząc na pokuszenie
po kwiecistej łące
bytu*

*ślepo odsyłają
do podglebia codzienności
gdzie gromobicie nicości
każdego dnia
stawia mnie
na nogi*

Cóż za ogrom znaczeń dosłownych i metaforycznych! Całe spektrum spraw, zagadnień, problemów, zjawisk dotyczących w sposób istotny ludzkiej egzystencji. Tytułowe sny mogą tu być przeżyciami z przeszłości, wracającymi we wspomnieniach, mogą być marzeniami i pragnieniami, mogą też być przywoływaniem do „twardego stąpania po ziemi”. Znajdujemy je w ostatnich wersach, gdzie szczególną uwagę zwraca wyrażenie „gromobicie nicości”. To bardzo mocne przypomnienie o naszej śmiertelności jest czynnikiem mobilizującym bohatera lirycznego do działania. Nakazuje mu, a pośrednio też czytelnikowi, aby nie tracić czasu, który jest nam dany.

Cytowany wiersz traktuje o ważnych dla

człowieka sprawach, w sposób ogólny. Ale już następne ukazują cały wachlarz bardzo szczegółowych „obrazów sennych”. Na początku tej części tomu znajdujemy Kraków i inne miasta. W „Zwidach porannych” jawi nam się „Monument Wawelu i Kurza Stopka / cień Jadwigi odciśnięty / na ceglanych murze (...)”, na Plan-tach spotykamy „poetycką brać” i widzimy, „(...) że się tej nocy urzęni / z ich oczu wyziera / skatowana dusza / Krwawej Mery”. Gdy „Ludzie jeszcze śnią...” obserwujemy jak „po-krzewka w czarnym / berecie na głowie / na wierzchołku/nagiego modrzewia / zaciekle oznajmia / swoją obecność // po śniegu stąpają / ociążałe gawrony / wydlubują spod / białej waty / zielone oczy / wiosny (...)”.

Spśród wierszy z lirycznymi obrazami ukochanego miasta autora „Prawa Natury”, na dłuższe zatrzymał mnie „Krakowski sen”, w którego ostatnich strofach czytamy metaforę dotyczące utraty złudzeń i przemijania:

*(...) innym razem budzę się spocony
kroplami nocy na ciele
a spod korony Wawelu
odpływają wianki
mojej naiwności*

*wiem, że jutro rano brunatne fale
zmarszczek na fali Wisły
o poranku utopią mój
sen i marzenie
o wieczności*

*jego mara zawieruszy się pewnie
w okolicach Barbakanu (...)*

Dobrze, że widok odwiecznych, nie podda-jących się czasowi murów Barbakanu, odsuwa na dalszy plan (przynajmniej na jakiś czas), Heraklitowe „panta rhei”, o którym przypominał poecie nurt rzeki. Ale myśli o zmienności, nietrwałości i odchodzeniu wszystkiego w przeszłość, powracają jeszcze wielokrotnie na kartach omawianej publikacji. Nie zawsze są one pesymistyczne, jak choćby w „Kosmicznym śnie”, w którym bohater liryczny zagłada na „drugą stronę”, odkrywając „tajemnicę przyziemnego istnienia”. Po czym stwierdza: „(...) już wiem, że ma drugie dno / w świecie alternatywnym / w którym już jestem / choćby moimi / nieprzyzwoitymi / marzeniami o życiu / w wieczności”.

Bezpośrednio ze snu o włóczędzie po wszechświecie, trafiamy do II części tomu, gdzie znajdujemy „Tryptyk rzymski i inne wiersze”. Ciekawe i w pewnym stopniu zagadkowe, bo różnie można je interpretować, jest to rozdzielenie grup utworów nazwanych przez poetę snami (część ostatnia książki zatytułowana jest tak samo, jak pierwsza – „Moje sny”).

W środkowej części poetyckie obrazy nie są bardziej realistyczne niż „śnione”, a towarzyszące im refleksje ani bardziej, ani mniej istotne od tych, które pojawiają się w „marzeniach sennych”. Może tylko są w większości mniej osobiste... Początkowo towarzyszymy poecie w zwiedzaniu Wiecznego Miasta; zatrzymujemy

się obok Koloseum, gdzie rozmyślamy o zagadkach przeszłości Rzymu, potem przystajemy przy grobie Gajusza Juliusza Cezara i szepczemy: *Ave Caesar, morituri te salutant*. Tak..., każdy przecież nieustannie zmierza ku śmierci... A jednak, mimo tej przygnębiającej prawdy, w pełni zasadne jest zamykające utwór pytanie: *Quo vadis, homini?* To rozdarcie między poszukiwaniem sensu istnienia, a zwątpieniem w niego, pojawia się w tym tomie nie po raz pierwszy i nie ostatni. Cytowane pytanie można również odnieść do wielu poczynań człowieka, które mogą być dla niego zgubne.

Po opuszczeniu Rzymu, myśli bohatera lirycznego nadal krążą wokół różnych, często niepokojących zjawisk współczesności, takich jak narkomania, upadek najwyższych wartości, skrajny egoizm, brak poszanowania dla przyrody. Wśród pełnych gorczy słów o niepokojących i zasmucających poetę sprawach, mocnym akcentem zaznacza się jeden z wierszy bez tytułu:

*w moim kraju słowo: człowiek
przestaje brzmieć dumnie –
zredukowano cię
do rzeczowników i przymiotników:
petent, podatnik
darmozjad, zwolennik
patriota, bohater,
ateista, katolik,
a może wieczny sceptyk
emigrant wewnętrzny
lub
mięso wyborcze*

*jednak zawsze jest jakiś
wyjątek od reguły: kiedy
jesteś Amerykaninem
lub jego sojusznikiem
– słyszysz wtedy słowo:
Człowiek!*

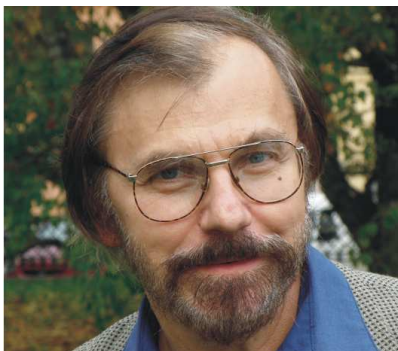
– ale dopóki jesteś!

Chyba jednak lepiej uciec od takiej rzeczywistości w sny... Ale i tam bywa niewesoło. Można wpaść w Trójkąt Bermudzki i przeżyć koszmarny lęk przed śmiercią, można spotkać morderców wolności, którzy *dławią pętlami wiatru/kapłana niezależności*. Dlatego nie ma swobody. Takie przekonanie wyraża autor w drugim „Śnie o wolności”, gdzie czytamy: „Jest / władza dla władzy (...) wolność dla niewolników – kiedy myśla, że są wolni / są już od dawna / zniewoleni / wolność śnią”.

Snami są też inne wartości. Poeta zdaje się być przekonany, iż wszystko, co najcenniejsze i najbardziej pożądane, nie istnieje naprawdę. Można to posiadać, lub tego doświadczyć, tylko we śnie. Tak i tylko tak można zakosztować wieczności, która bardzo ostatnio zaprzęta myśli autora „Logiki serca”, tak można zbliżyć się do prawdy, której poszukiwanie zawsze bardzo go absorbowoło. Jakże gorzko brzmią ostatnie wersy „Snu o prawdzie”: „(...) zabijamy

(Dokończenie na stronie 24)

Listy do Pani A. (80)



Skuteczne odchudzanie

Droga Pani!

Piszę do Pani już osiemdziesiąty list. Zapisuję ważne, mniej ważne i zupełnie błahе wydarzenia. Z takich wydarzeń składa się całe nasze życie. To dzięki nim staje się ono ciekawe, a tak zapisane listy przestają być suchą kroniką wydarzeń, stają się anegdotą. Mamy także poezję epistolograficzną, że wspomnę tylko „Piętnaście listów” Marka Wawrzkiwicza. Ta forma jest bardzo inspirująca i pojemna, pozwala na wyartykułowanie wielu problemów zwierzanych prawdziwym bądź wyimaginowanym adresatom. Mam więc nadzieję, że Pani te listy czyta z ciekawością.

Dostałem niedawno tom Jerzego Jankowskiego pod bezpretensjonalnym (jak nasz cykl) tytułem „Listy”. Książka pięknie wydana w oficynie bardzo życzliwego dobrym poetom Adama Marszałka. Zawiera aż 129 poetyckich listów, co ilościowo wyraźnie zdystansowało zbiór Marka. Znalazły się tam bardzo dobre utwory, pełne autorefleksji, zamyślenia nad światem, nad relacjami pomiędzy dwojgiem ludzi. To osobliwy dialog o życiu, nastrojach, emocjach.

Pojawiają się, jak Pani widzi, książki poetyckie dobre, mądre, znaczące. Niestety zbyt dużo jest chlamu, w zalewie którego giną te tomy, które powinny zwracać uwagę. Czas to przefiltruje. Zostanie to, co wartościowe, a najbardziej nawet krzykliwy plankton oędzie w zapomnienie.

Dobra poezja nie oędzie, pod warunkiem, że się o to postaramy. Najgorszy jest plankton urzędniczy: ten pasożytniczy, próżniaczy gatunek. I zadufany w sobie, pełen przeświadczenia, że na wszystkim się zna. Oto banda ignorantów odmówiła dotacji „Migotaniom” redagowanym przez Zbigniewa Joachimiaka. To jest pismo ponad polityką i podziałami, otwarte dla wszystkich. Może dlatego właśnie jest tępione, a dotacje otrzymuje większość miernych ale wiernych piesków, nie obrażając tych ostatnich. Chyba już kiedyś był taki zamach na „Migotania”, ale wtedy się nie udało. Myślałem, że może władza zmadrzała, ale okazuje się, że nie. Dalej jest chora na głupotę, czyli paraliż postępowy rozumu.

W podobnej sytuacji znalazł się portal Bohdana Wrocławskiego „Pisarze.pl”. Jest to internetowe pismo z prawdziwego zdarzenia, w którym również publikują autorzy bez względu na przynależności, sympatie i anypatie. To po prostu skan-

dal. Potwierdza się przekonanie, że nie potrzeba zaborów, represji, cenzury. Wykończymy się sami. Odcinając się od kultury, odcinamy się od własnych korzeni. Ale polityczna banda nie potrzebuje korzeni. Tak przynajmniej sądzi. A szczególnie uschnie szybciej niż jej się wydaje.

Chora na debilizm jest nie tylko władza świecka, ale i ta, która teraz narzuciła się jako przewodnia siła narodu. Oto ukazała się lista zespołów wokalnie-muzycznych, które zostały zaliczone do „satanistycznych”. Ich słuchanie – zdaniem duchowych przywódców – grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem. Wpadniemy w szpony szatana! Tylko posłuszeństwo niektórym biskupom zagwarantuje nam bezpieczeństwo. Znamy to od wieków, pamiętamy indeks ksiąg zakazanych, które potem zakazane być przestały. Zaczęto je czytać i nic się nikomu nie stało. Czyżby diabeł także słuchał hierarchów? Być może. Najbliższych przyjaciół się słucha i poważa.

Tak zwanym publicystom też się rzuciło na mózg. Kiedy papież Franciszek podobno powiedział, że katolicy nie mają obowiązku mnożyć się jak króliki, to jeden ze świętoszkowatych dziennikarskich królików tak się oburzył na papieża, jakby ten chciał go wykastrować. Ale zaraz o tym pisać, oburzać się? Nikt mu przecież niczego nie zabrania.

Drugi mądrała napisał nawet o papieżu „idiota”. Podejrzewam, że to pomyłka w druku. Wkradło się to do tekstu, a miało być podpisem autora artykuliku.

Jak Pani widzi, chamstwo wypycha się wszędzie. A może się nie wypycha, tylko od wieków tam było, a teraz przy sprzyjających warunkach wylaży w gumiakach zabrudzonych gnojem.

Ale wróćmy do wydarzeń literackich, bo po co mam paskudzić list do Pani takimi tam wykwitami pleśni. Oto w Domu Literatury odbyła się promocja poematów Elżbiety Musiał. W ogóle ten dzień zaczął się niezwykle literacko. Już około 14.00 spotkaliśmy się z Janem Stanisławem Kiczorem. Gadaliśmy o różnych sprawach, przeważnie literackich, wspierając jednocześnie przemysł gorzelniczy... Wydawało mi się w pewnej chwili, że Pani zadrzała do lokalu. Pewnie zauważył Panią również Jan Stanisław, bo nagle dostrzegłem na jego twarzy błysk zachwyty. Posiedzieliśmy do 17.00 i poszliśmy na górę.

Przyszło bardzo dużo ludzi, Marek Wawrzkiwicz jak zwykle z humorem i lekkością prowadził spotkanie. Było aż troje prelegentów. Mówił Andrzej Zieniewicz, Aldona Borowicz i Andrzej Wołosewicz. Bardzo mi się podobało wystąpienie Zieniewicza i Borowicz, choć wszystkie były równie ciekawe i bardzo dobre. Może Pani także ich wysłuchała? Fragmenty poematów czytała Krystyna Czubówna. Szkoda, że nie sama Ela.

Andrzej Wołosewicz niespodziewanie zacytował mój wiersz „Całopalenie”, odnosząc się do poematu Eli „Na zdjęciach wciąż żyjemy”. W moim wierszu było palenie fotografii, destrukcja tego, co pozornie utrwalone z przeszłości. U Eli zdjęcie jest przedłużeniem istnienia. Andrzej te dwa wiersze zestawiał. Bardzo to było dla mnie ciekawe i jednocześnie miłe, że wybrał akurat mój utwór. Może nawet zna Pani ten wiersz z mojego fanpage’a?

Była ożywiona dyskusja, ale moim zdaniem od początku wadliwie ukierunkowana. Zaczęto poezję Eli chwalić, że nie ma w niej nic z „poezji

kobiecej”. Fakt. Jej poezja pozbawiona jest czułościowości, naiwności ćwierćmózdków. Jest trudna, porusza problem czasu, ostateczności, sensów egzystencjalnych, względności zjawisk... Trzeba sobie zdać sprawę, że mamy do czynienia z poezją, i w tym momencie staje się zupełnie nieistotne, kto ją pisze. I nie ma co rozdziawiać gęby ze zdziwienia, że kobieta tak pisze. Tak piszą ludzie utalentowani i mający do powiedzenia o świecie coś więcej, niż to, że kwiatki ładnie pachną, i nieważne czy dobrą poezję tworzy mężczyzna, kobieta, katolik, buddysta, ksiądz, hermafrodyta... Liczy się tylko to, co czytamy: czy nas interesuje, przykuwa uwagę, prowokuje do intelektualnych rozmyślań, a zarazem zachwyca trafnością nazywania i precyzją słowa. I tylko taka, i aż taka, jest poezja Elżbiety Musiał. Twierdzą, że nie istnieje coś takiego jak „poezja kobieca”. Są wiersze dobre, albo złe. Oczywiście – podkreślam – mówimy o poezji wysokiego lotu, a nie o wzdychaniach egzaltowanych paniusi.

A potem „lampka wina”, wytworzył się nastrój literacki, artystowski, zupełnie jak w nieodżałowanym dwudziestolecu międzywojennym. Żarty, fraszki, śmiech – a na to wszystko z dobroliwym uśmiechem patrzyli z portretów Jarosław Iwaszkiewicz, Leopold Staff, Władysław Broniewski, Izabela Czajka-Stachowicz. Biesiadowaliśmy bowiem w salce Zarządu Głównego. Z lampki zrobił się mały żyrandol. A potem razem z Anią wracaliśmy do domu autobusem. Czulem się znakomicie.

W domu czekała mnie niespodzianka. Gruba, ponad trzystustronicowa książka „Rozmowa”. To arcyciekawa rozmowa Cezarego Sikorskiego i Leszka Żulińskiego o poezji, filozofii, psychologii twórczości, historii poezji powojennej; o przemianach, jakim podlegała w czasach powojennych. To nie jest żaden wywiad, który przeprowadza jeden pan z drugim panem, ale pełnoprawny dialog, prezentacja przez obu rozmówców własnych, niekiedy odmiennych, punktów widzenia.

Książka ta rzuca nowe światło na poezję, wzbogaca i odświeża jej obraz, przełamuje stereotypy.

Do przesyłki był dołączony na kartce „list otwarty”, który pozwałam sobie zacytować Pani w całości: *Kochani, ten liścik załączamy do książki, którą Wam wysyłamy. Weźcie ją w swoje czule ręce; nie jedzcie, nie pijcie, przestańcie chodzić do pracy... Może lektura przyniesie Wam satysfakcję, może coś skrobniecie, może nie wrzucicie książki do kosza... Liczymy na Waszą skupioną i łaskawą lekturę... Ukłony i pozdrowienia załączamy. Cezary Sikorski, Leszek Żuliński.*

Książka jest tak znakomita, że istotnie trudno jest chodzić gdziekolwiek, przerywać lekturę na posiłki. Mówię z autopsji. Nawet zaczynam lewitować. Nie wiem, czy ją Pani polecać, bo jeszcze Pani schudnie z niejedzenia. I do kogo wtedy pisałbym listy? Do szkieletu?

Mówiąc poważnie (co mi się niekiedy zdarza) bardzo Pani polecam „Rozmowę”, bo to świetna rzecz.

I mamy już marzec, a w końcu miesiąca Niedziela Palmowa. Czyli wiosna, dłuższe i cieplejsze dni. Życzę więc Pani dużo słońca i wiosennej radości –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Ernest Bryll

Są poeci, którzy już za życia stają się legendami. Ich sława sięga znacznie dalej, niż możemy to sobie wyobrazić, choć nikt nigdy nie prorokiem we własnym kraju. Takim poetą jest Ernest Bryll. Intelktualista, doskonały mówca, gawędziarz i interlokutor. Mało jest w Polsce pisarzy, którzy z takim zaangażowaniem potrafiliby rozprawić nie tylko o literaturze, ale przede wszystkim mieliby naprawdę coś ważnego do powiedzenia niemal we wszystkich dziedzinach wiedzy humanistycznej... Wybitny poeta właśnie skończył 80 lat... 1 marca...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Ernesta Brylla poznałem kilkanaście lat temu podczas jeden z moich literackich podróży. Wielogodzinne rozmowy (głównie o zelowskich Czechach) zaowocowały tym, że w 1996 roku Ernest Bryll uczestniczył w Żelowie w Ogólnopolskich Konfrontacjach Literackich w 1995 roku. Nasze drogi później wielokrotnie krzyżowały się na literackich szlakach i kiedy tylko mogliśmy się spotkać, zawsze rozpoczynał rozmowę: – Andrzej, jak tam w tym twoim czeskim Żelowie?

Ernest Bryll, poeta, prozaik, dramaturg, dziennikarz, krytyk filmowy, dyplomata, ambasador RP w Irlandii (1991-1995). Tłumacz z języka irlandzkiego, czeskiego i jidysz, autor tekstów piosenek (m.in. „Peggy Brown”, „A te skrzydła połamane”). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, polskiego i irlandzkiego PEN Clubu, a także SEC (Society of European Culture).

Kawaler Orderu Irlandzkiego Rodu Królewskiego O’Conor (1995) oraz Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski (2006). Otrzymał wiele nagród literackich, poczynając od Nagrody im. Władysława Broniewskiego w dziedzinie poezji (1964), a na Nagrodzie Miasta Stołecznego Warszawy (2009) kończąc.

W 1956 roku ukończył polonistykę na Uni-

wersytecie Warszawskim. Od roku 1954 współpracował jako dziennikarz z pismami takimi, jak „Po prostu”, „Sztandar Młodych”, „Współczesność”, „Miesięcznik Literacki”.

Debiutował jako poeta „Wigiliami wariata” (1958), jednak znany się stał dopiero dzięki trzeciemu tomikowi „Twarz nieodślōnieta” (1963).

Odrębność Brylla wyznaczyła tematyka utworów: interesowały go różne postawy wobec polskiej historii, rozważania nad rolą Polski w Europie, ocena charakteru narodowego i narodowych przywódców – czyli tradycyjnie pojęta problematyka społeczno-obywatelska, podejmowana jeszcze przez literaturę staropolską (choć widoczne są też inspiracje Norwidowskie).

Związki z tradycją podkreśla Bryll stylizacją językową, nie wahając się przed użyciem rubasznych określeń, pochodzących z dawnego języka bądź z mowy ludowej. Bryll polemizował przy tym z silną w Polsce tradycją romantyczną: atakował kult ofiarstwa, czczenie spraw przegranych i brak trzeźwego praktycyzmu.

Poezja Brylla ma często charakter gryzącej satyry czy gorzkiego żartu. Drwi z elementów kultury elitarnej pielęgnowanej na magnackich dworach, oderwanej od życia społeczeństwa w ubogim i ciemnym kraju. Potrafi wykpiwać zaściankowy ideał cnót parafialno-regionalnych, ta swoista odmiana współczesnego sarmatyzmu, w którym wyraża się nasz kompleks niższości wobec „uczzonej” Europy.

Bryll przeciwstawia romantycznym mrzonkom trzeźwy, plebejski praktycyzm, a ludową krzepę stawia naprzeciw „pańskiej” delikatności. Moralność plebejska jest przy tym moralnością słabego, zmuszonego niekiedy uciec się do podstępów, by oszukać silnych.



Ernest Bryll i Andrzej Dębowski
na Podkarpaciu – wrzesień 1995.

Z kolei w „Rzeczy listopadowej” mówi o przejawach „zniewolenia” przez komunizm, gdyż skrajnie pesymistyczne ujęcie sytuacji Polski w utworze wykluczało wszelką perspektywę buntu.

W tomie wierszy „Sadza” (1982, utwory z lat 1979-80) poeta przeprowadził rozrachunek z własną ZMP-owską młodością. Przedstawiając szarą, beznadziejną egzystencję człowieka pracy w Polsce, postawił ponadto tezę, że właśnie ten stan doprowadził do przemiany świadomości, która zaowocowała wydarzeniami sierpniowymi i powstaniem „Solidarności”.

Bryll pracował jako kierownik literacki Teatru Telewizji (1963-1967), zespołu filmowego Kamera (1967-1968) oraz Teatru Polskiego w

Warszawie (1970-1974). W latach 1974-1978 pełnił funkcję dyrektora Instytutu Kultury Polskiej w Londynie. Po powrocie do Polski przez pewien czas związał się ściślej ze Śląskiem: wykładał na wydziale filmu Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (1978-1979) oraz był kierownikiem artystycznym zespołu filmowego Silesia w Katowicach (1978-1983).

Po wprowadzeniu stanu wojennego Bryll wystąpił z PZPR. Wydał dwa tomiki wierszy w drugim obiegu, a jego sztukę „Wieczernik”, osnutą na motywach ewangelicznych, grano w kościołach. Już wcześniej tworzył zresztą widowiska słowno-muzyczne, wykorzystując wątki ludowe i regionalne. Najpopularniejsze z nich to uwspółcześniona pastoralka „Po górach, po chmurach” oraz góralsko-zbójnickie „Na szkle malowane”.

W 1997 roku przeprowadziłem wywiad z Ernestem Bryllem, który następnie wszedł do mojej książki pt. „Kiedy umiera poeta, umiera świat”.

Poeta tak wtedy mówił: (...) *Widziałem parę pokoleń poetów, do których zaliczają się m.in. moje pokolenie współczesności, później nowa fala, jeszcze przedtem pokolenie przyszczytanych i inne, którzy uważali, że są jedynymi, niezwykłymi. Tak samo i ja uważałem, że wnosimy do literatury coś absolutnie niepowtarzalnego, że od nas zaczyna się poezja, a później, oglądając to z pewnej perspektywy widać, jak się to wszystko spłaszcza. I miała rację pewna młodziutka dziewczyna, która mnie zapytała na wieczorze autorskim: – To Pan jeszcze żyje?...*

Dlaczego tak się stało? Pomiewał dla niej Grochowiak, ja, Broniewski, a nawet Przybyszewski, to jest jakaś przeszłość. Teraz jest też jakiś Barańczak, ale wszyscy powoli odchodzą w przeszłość, która stanowi o wartości literatury polskiej i teraz znów pojawią się jacyś nowi poeci, którzy będą uważali, że od nich zaczyna się poezja, że oni tworzą coś nowego, i bardzo dobrze. W tym wypadku jeśli rzucają się na mnie, to czuję się żywy. Poeta, na którego jeszcze się rzucają, to jest ten, który denerwuje. Także bardzo proszę, żeby młodzi poeci rzucaли się na mnie i ostrzyli swój talent, m.in. na walce ze mną.

Ernest Bryll

**Ja się modlę, jak gdybym darł
palcami ziemię...**

Ja się modlę, jak gdybym darł palcami
ziemię
Ale jałowe, puste moje pole
I chociaż mam, co chciałem, czuje
opuszczenie
Jak gdyby chleba brakło na mym stole
Ja się modlę, jak gdybym darł palcami
ziemię...
I wygrzebywał z ziemi kamień, za
kamieniem.

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (54)

(fragmenty)



Tak, śmierć jest niszczycielką bez skrupułów i zasad, barbarzyńskim dzikusiem, piratem, przeciwnieństwem ludzkich hierarchii. Napada znieca, wycina w pień wszystkie komórki ciała, anarchia wcielona, furia niszczenia. Naprzeciw niej stanął urzędnik życia: czystość, schludność, umiar, porządek, ubranie poukładane w kostki, trzy posiłki o określonej porze dnia, podręczny kalendarz zapisany maczkiem spraw do załatwienia. Zmiotła go, zgmiotła go.

Okazał się w jej oczach prochem i niczym.

Lecz pamięć podpowiada mi też pewną sytuację, gdy mój były szef zdumiał mnie wypowiedzią przy stole. Był jubileusz redakcji, a ja pojawiłem się na nim już tylko jako współpracownik i kombatant wiadomej choroby. Tymczasem on był dopiero rok po operacji i świeżo po chemioterapii. Toczyła się dyskusja o sztuce, kobietach, podróżach, a potem może o ostatnim filmie Wajdy czy o pomyłkach jurorów naznaczających książki do Nike; dalibóg, nie pamiętam... i nagle on, nigdy niemanifestujący przede mną swojej religijności, wyskoczył ze zdaniem: „Nieważne, co tu dokonaliśmy, jakie są nasze tytuły, miejsce w hierarchii artystycznej; ważne, czy jesteśmy dobrymi czy złymi ludźmi i jak oceni nas kiedyś Bóg”. Umilkłem skonsternowany, bo te słowa nie pasowały do tego na wskroś ziemskiego człowieka. To zabrzmiało jakoś niezręcznie, jeśli nie anachronicznie, gdy racjonalista, pragmatyk przemówił językiem kaznodziei albo poety.

A potem znów nie widziałem go rok i zdumiał mnie jeszcze raz: gdy umarł, bo przez lata wbił mi się jednak w pamięć jako trzeźwy, zdyscyplinowany, punktualny, sprawiający wrażenie, że się zna na wszystkim. Poczulem z całą mocą, że to jakiś psikus losu, bo on przecież absolutnie nie pasuje do abstrakcyjnej Nicości. To ja do niej pasuję. Ja całe życie bez zegarka, ja, który znam w Krakowie raptem dziesięć ulic na krzyż, a w dodatku

każda z każdą mi się mieszają, który mam orientację kosmiczną, czyli żyję w poetyckiej mgłę, nie mając zielonego pojęcia o cenach, o imponderabiliach przyziemnej rzeczywistości... A nie on – urzędnik, system, mechanizm, chodząca wiara w gazetę codzienną, żywa encyklopedia wiedzy, znakomita pamięć do faktów, ulic, cen detalicznych, dat historycznych, przywiązanie do grawitacji przyziemnej – żywe zaprzeczenie nieobliczalnej anarchistki śmierci, która zaczęła się w środku niego i milcząco, pięćdziesiąt jeden lat, czekała, żeby się wydostać na wolność, rozszarpując cały ten skonstruowany umysłem porządek.

Jednym z marzeń ludzkości było i jest – życie wieczne.

Ileż religii świata kultywowało i kultywuje to niezniszczalne marzenie!

Ale czy moja 94-letnia mama chciałaby żyć wiecznie? Nie wiem. Podejrzewam, że nie. I podejrzewam, że wielu starych ludzi, umęczonych długim życiem, nie bardzo ma już na to ochotę.

Pisał o tym kiedyś w wierszu Janek Rybowicz i chyba miał rację:

Im człowiek starszy, tym mniej boi się wszystkiego.
Jego oczy mówią – jest mi już wszystko jedno.

Człowiek bardzo stary zwykle mruczy coś pod nosem
Kiedyś podслуchałem: Róbcie ze mną co chcecie! –
mamrocze (...)

Półosłepła malarka Maryla Tatarczuch ze Sztokholmu, którą, jak mówi, wszystko boli, napisała mi na kartce: „Degrengolada ciała! Starość to diabelszczyzna, usiłująca upokorzyć nie tylko ciało, ale i ducha! I upokarza. To okropne!”.

Czyżby więc religia była przeznaczona raczej dla ludzi w średnim wieku i dla ludzi starszych, którzy poruszają się jeszcze o własnych siłach, i którym starość nie zdążyła jeszcze umniejszyć ducha?

Miron Białoszewski, który „nie żywił złudzeń religijnych” i nie podzielał marzeń ludzkości o życiu wiecznym, tuż po kolejnym wyjściu ze szpitala napisał mi na kartce: „Nic mi poważnego nie jest, tylko takie resztki osłabienia, które kiedyś się zbiorą i wtedy człowiek umrze. Nareszcie spokój od wszystkiego (...)”.

Dziwił się ludziom, którzy „pragną życia pośmiertnego za wszelką cenę: wcieleń, włóczęń się duszy, tępego snu, prawie – niebycia”. „Chodzi im – pisał mi w liście – o to prawie, żeby choć troszeczkę być, choćby udawać, że się jest”...

Ale Miron Białoszewski w ogóle nie przepadał za marzeniami. Żył chwilą teraźniejszą jak dziecko. I chwycił tę chwilę na gorącym uczynku.

„Marzenie? Co to słowo oznacza? – pytał

mnie udając zdziwienie. – Jakąś sytuację, w której chciałbym być. Jeśli coś chcę, staram się, żeby było. Nie miałem nigdy w zwyczaju marzyć o niebieskich migdałach”.

Z listu Izabelli Migal do mnie:

„Witam, po długim śnie.

Akceptuję twórczość Białoszewskiego. Właśnie inspirują mnie niektóre jego pomysły. Ma zabawne kawałki, na przykład kawał z modą na »miganie nago«. Ma Pan rację, że jak rzadko który polski pisarz jest on pozbawiony romantycznych uniesień i czasem się wydaje, że jest człowiekiem nieodczuwającym bólu, dramatu egzystencji, chodzi jak fakir po gwoździach i opowiada dowcipy. Niestety, albo stety, nie będę Białoszewskim, nie potrafię przemilczeć, że mnie boli stopa, kiedy stanę na gwoździu. Każdy jest inny i z tego tylko się cieszę, kiedy widzę, że za Chiny nie mogę przyjąć czyjś punkt widzenia i wizji sztuki, ale interesuję się tym, co myślą inni, bo nie wisimy w powietrzu, to jednak ziemia i trzeba korzystać z tej formy istnienia danej nam, zdaje się tylko raz, choć buddyści uważają inaczej (...). Śniegu niestety już nie ma. Przesyłam kilka kropel deszczu”.

Z niezbyt optymistycznego listu poetyksiedza Wacka Buryły z Milicza:

„Nowa wiosna budzi się w przyrodzie – czekam. Kiedy obudzi się we mnie? Czuję fizyczne i psychiczne zmęczenie. To uczucie, ta apatia jeszcze bardziej się pogłębia, gdy człowiek popatrzy na to, co się dzieje wokół. Jakoś nam Polakom nie wychodzi rządzenie własnym krajem. Potrafimy jedynie walczyć o wolność. A potem potrafimy się jedynie ustawiać, dorabiać, zabezpieczać. To przykre. Jeden z poetów tłumaczył mi kiedyś, że w Polsce istnieją dwie partie: DO ŻŁOBU i OD ŻŁOBU. I chyba tak wygląda rzeczywistość. Rządzący czują się niezłe, naród nie czuje się tak dobrze. Kiedyś nie chciałem się zgodzić na takie poglądy, ale teraz widzę, że tak jest niestety (...). Mimo wszystko musimy robić, co jest w naszej mocy. Przecież z małego dobra rodzi się małe dobro. Czy poezja może zmienić świat? Czy poezja może obudzić ludzką wrażliwość, ludzkie sumienie? Staram się czytać wiersze różnych autorów, ale jakże często bywam rozczarowany tym, co czytam. W wierszach znajduję słowa, ale nie widzę serca, wrażliwości, miłości, zatroskania. Współczesna poezja wydaje się bardzo zimna, zamknięta, niezrozumiała – a może pusta? Chciałoby się w wierszach usłyszeć ludzki oddech, ludzkie kroki”.

cdn.



Wiersze ze świata bajek

Tomik ten otwiera wiersz pt. „ściernisko”, w którym autor pisze: „boso przejdź // jak dojdiesz / do chlebowego pieca / chrupiące drzwi otworzy / Piekarz // w rumiany zapach / pójdziesz // przed tobą / bochenek chleba”.

Wiersz nader prawdziwy, stanowiący jakby metaforę ludzkiego życia, bo właśnie chleb – to ta konieczność egzystencjalna, bez której życie staje się niemożliwie. Ileż to ludzie są w stanie zrobić nawet złego innym, dla kawałka tego, powszedniego chleba. Zdaje sobie z tego znakomicie sprawę krakowski malarz, ale i poeta – **Kazimierz Machowina**, którego długie życie najeżone jest wspomnieniami o historii Polski, na marginesie której przyszło mu żyć, a nawet w niej aktywnie uczestniczyć. Tytuł tego tomiku brzmi z rosyjska, a mianowicie: „Skazka”, co po polsku znaczy po prostu bajka.

Zbiorek zawiera 21 krótkich wierszy napisanych prostą polszczyzną, ozdobionych rysunkami autora, które poniekąd sprawozdają metaforycznie przeżycia malarza podziwiającego prostotę rzeczy w świecie, w której widzi tyle ważnych symboli, ale i wartości, dla których pomimo ciężkiego losu artysty-człowieka, warto żyć i tworzyć, by ludzie nie zapomnieli na czym polega los człowieka, członka naszego narodu. Najbardziej wstrząsają go przeżycia ostatniej wojny, tej doświadczonej na Wschodzie, tj. rzezi Polaków na Ukrainie, ale i zbrodnia katyńska, które ciągle tkwią w jego pamięci, a którym poświęcony jest wiersz tytułowy owa „skazka”, w którym czytamy: „jest ranek zbudzony marszem tysięcy / ziemia drży / (...) / strzelają w tył głowy / prosto i miarowo / warstwami zwłoki układają / pod wieczór zasypują dół / równają kopytami piach / sadzą sosnowe drzewka // ziemia całunem się kładzie”. Te tragiczne wydarzenia nakładają na autora powinność pisania o nich, by pamięć ocalić, i by przestrzeżęła innych przed bezsensownymi zbrodniami.

Machowinę fascynuje również klimat duchowy wschodniego chrześcijaństwa, jego architektura, malarstwo, ale i ich harmonijne związanie z krajobrazem. W wierszu pt. „pejzaż z Rybotycz” czytamy: „Nad rozlaną zielenią / w gęstwinie skrzydeł / Chrystus Pantokrator / ogniem złotym / rozpala połoniny / wilczym echem kołysze / na wieczrę zaprasza // pędzą owce / za nimi pasterz / Carskie Wrota zamyka”. Z wiekiem coraz bardziej tęskni do świata przyrody, żywiołów natury, ale i ojcowizny, która kiedyś określiła jego osobowość, ale i tożsamość twórczą. Wszystko, co pocie te rodzinne miejsca przypomina, budzi w nim namiętności, podziw, ale i pozytywne odczucia. Tymi wierszami jakby modli się do Stwórcy, bo wie, że jego Opatrzność czuwa nad nim, pozwalając

mu na pogodę ducha w tym szybko zmieniającym się świecie, który nie koniecznie jest przyjazny człowiekowi.

Tomik ten jest wart uwagi Czytelnika ze względu na swą interesującą zawartość poetycką, ale i piękne, estetyczne wydanie, w którym kreska rysunków autora świetnie współgra z czarną czcionką liter jego wierszy, co pogłębia percepcję wartości, przy których obstaje twórca.

prof. Ignacy S. Fiut

Kazimierz Machowina, „Skazka”. Wstęp: Andrzej Warzecha. Wydawnictwo Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2014, s. 48.

Głębia wartości

Człowiek przez całe swoje życie podejmuje próby osvajania podarowanego mu czasu. Emanuel Kant mówi o dwóch kategoriach, które spotyka w życiu każdy z nas: czas i przestrzeń. Z nich czas jest ważniejszy: bez niego nie możemy bowiem posiadać, opanować, przekraczać przestrzeni.

Maria Dąbrowska w „Przygodach człowieka myślącego”, w epitafium poświęconym bestialsko zburzonemu Kaliszowi w 1914 roku, kongenialnie zauważyła: „To był znak zwiastujący koniec czasu oswojonego”.

Cóż dopiero powiedzieć o spustoszeniu rudymenarnych wartości humanistycznych jakie spowodowała druga wojna światowa oraz jakie niosą czasami nam współczesne.

Europa rozstaje się z kulturą łacińską, traci funkcję centrum kulturalnego i cywilizacyjnego świata. Zaprzepaszczone są uniwersalne wartości duchowe, zgubiony jest ideał człowieka spolegliwego, którego wytrwałym orędownikiem był wielki polski filozof Tadeusz Kotarbiński. Gdzieś zapodziała się tajemnica, a z nią zniknęło zaciekawienie dobrą mądrością, otwarcie na drugiego człowieka. Świat zszarzał, coś w nim pękło – co przed laty zauważyła prof. Ija Lazari Pawłowska. Coraz mniej ludzi ma wartościowe pasje. Nastąpił wyraźny upadek kultury słowa. Rozpanoszyły się „obrazki”. Mordowany jest język polski.

Jakie są wydawane dziś powieści?

Zdaniem Waldemara Łysiaka w 99% nie mają one nic wspólnego z literaturą. Już same tytuły „topowych” książek prozatorskich: „Gnoj”, „Trociny”, „Pod mocnym aniołem” mówią same za siebie. Przekonanie: „pisać każdy może” stworzyło tłumy pseudoliteratów.

Powieść **Elżbiety Stankiewicz-Daleszyńskiej** „Widma miejsca i czasu”, skromnie nazwana w podtytule „Opowieściami Pani Eguckiej”, jakże odmienna jest od dzisiejszej nadprodukcji piśmienniczej. To odważne artystyczne wołanie o wartości! Pełne pomy-

słów, twórczej wyobraźni a nawet fantazji oraz ludzkich przesłań. Przestrzeń kultury według Elżbiety Stankiewicz-Daleszyńskiej wygląda dziś następująco: *nirozumny, a więc nieszczęsny człowiek współczesny jest przeciw uzależniony od OBRAZKÓW – OBRAZECZKÓW: a to KOMIKS, a to SERIALIK w Telewizornii... żadne ksiąg czytanie – rozmyślanie – intelektu nadwyrężanie.*

Rzeczy (nazywane w gramatyce rzeczownikami) zarówno w życiu jak i w języku mają decydujące znaczenie, bowiem od nich wszystko może się zacząć: to one mają cechy, kształt, kolor, wielkość; to one mogą żyć, poruszać się, biec, krążyć – a więc wykonywać czynności. Autorka omawianej prozy ma tego pełną świadomość. Przykładem może być opis pensjonatu, w którym rezydował Józef Cyrankiewicz: *bezpieczne drzwi, okna solidne, pokój przestronny, wysoki, powietrza w nim tyle, że nie tylko dla Premiera, ale i dla całej armii jego ochroniarzy starczało, łóżko obszerne i wygodne – może nawet też z TAMTYCH CZASÓW.*

W ogóle prezentuje całe bogactwo rzeczy, osobiwie opisując stroje, wygląd prezentowanych postaci, nie wyłączając PANI EGUCKIEJ, alter ego autorki: *Ubrana była tak, jak wszystkie dystygowane panienki o tej porze roku ubrane być powinny: miała lekko wcięty płaszczek z wielbłądziej wełny w szaroczarnej pepitkę, którego zaokrąglone mankieci, kołnierzyk i pateczki obciążnięto czarnym aksamitem; związana pod szyją kokarda z czarnej tafty nawet przez strugi deszczu połyskiwała najprawdziwszym jedwabiem. Dłonie obciążnięte czerwonymi skórkowatymi rękawiczkami zwanymi przez Stasię GLAZEJKAMI, całość dopełniał mały szary kapelusik odwinięty z czola, ozdobiony czarną rypsovą wstążką, której długie końce rozwiewa teraz ten jesienny wiatr, niby dwie czarne chorągwie...Na stopach nowiutkie lakierowane czerwone bucki.*

Profesor egzaminujący PANIĄ EGUCKĄ (studentkę chemii) tak się prezentował: *OSOBIŚĆ w całej okazałości jej doskonale skrojonego garnituru z szarej flaneli; oczywiśta! ta, na ostatni guzik zapięta kamizelka, ta błękitniejąca sztywno krochmalonym kołnierzykiem koszula, ten PRAWDZIWYM JEDWABIEM (polski MILANÓWEK – TO jest firma – współczesna chińszczyzna wysiada) połyskujący krawat...tonacja głębokiej popielatości, nikłymi tureckimi wzorami znaczonej, odrobiną urokliwej czerwieńmi rozświetlony.*

W czasie, gdy ludzie między sobą prawie nie rozmawiają, posługując się esemesami / Internetem, zdawkowymi komunikatami, bądź wygłaszając samolubne/egoistyczne monologi i nie potrafią słuchać – powieść „Widma czasu i przestrzeni” wprowadza czytelnika w odmienny świat wartości i znaczeń. Jest ona nieustającą rozmową autorki z

(Dokończenie na stronie 18)

Głębia wartości

(Dokończenie ze strony 17)

sobą (*Ubrałam się tak jakbym chciała w ten pejzaż WNIKNAĆ – go PRZENIKNAĆ*), rozmową z Panią Egucką, wspomaganą przywoływaniem przysłów, fragmentów wierszy, spokojnych i rozważnych powiedzeń Stasi od św. Zyty (ochmistrzyni w przedwojennym domu autorki) oraz tonującej roli Pana Szlacheckiego. Sobie pozostawia autorka funkcję arbitra elegantiarium. Prezentowane rozwiązania nie są ostateczne, ukazywane, podobnie jak autorytety, w dynamicznej formie.

Przecież to wątpliwości stanowią o humanistycznym oglądzie życia i świata. Przywoływane są myśli Floriana Znanieckiego o nierozłącznej zależności dobroci od mądrości: „*tylko człowiek MĄDRY – DOBRY*”. Naturalność to cecha tego – kto jest kimś, zauważa PANI EGUCKA: *żeby mieć TWARZ trzeba mieć DUSZĘ*.

Elżbieta Stankiewicz-Daleszyńska siódmą książką potwierdza swój rozpoznawalny styl pisarski, który nie sposób naśladować i to nie tylko dlatego, że wybrane wyrazy / zwroty zapisuje wersalikami. Jest to prozaiczka mówiąca własnym głosem.

To zaiste proza artystyczna pisana polszczyzną wzbogaconą gwarą wielkopolską / *Niech się nam z tym WIELKOPAŃSTWEM nie obnosi, bo tu może JESZCZYK LEPSZEJSI – lepiej urodzeni... wszystko w swoim czasie i po hałasie – zasyczała tajemniczo, ale jakby ZGROŹNIE – powiedziałaaby Stasia od św. Zyty, / „blokierskim” językiem / rozochocone BROWAREM wesole PRZYGLĘPY wyniosły LAMUS /, przedwojenną lwowską gwarą / W GRÓDKU JAGIELLOŃSKIM BYŁ? BYŁ CZY NIE BYŁ – W MORDU (od życia) DOSTAŁ... Co tam w MORDĘ /, a także neologizmami / OHYDNOMORDA, GĘBOTWARZ, PAŁACOWATA Szkoła.*

Oryginalność widoczna jest także w przestawnym szyku wyrazów w zdaniach: *Jeszcze wczoraj szerokie balkonowe okno festonami gestymi zieleni wiosennej z góry do dołu zarzucione było, nieba ta zieleni delikatna, bo listkami brzoź i kasztanowców drgająca sięgała, nawet skrawka tego lazuru nie ukazywała taka zachłanna tą swoją młodzieńczą zachłannością, gdy dziś jakaś BLADA MARA do szyb się przykleiła – je zakleiła, oddechem swej zimnej wilgoci przez szparę uchylonego okna wtargnęła, za szyję PANIĄ EGUCKĄ obłąpiła.*

Jakże trafnie pokazuje mizериę DROBNEGO PLANKTONU DEMOKRATYCZNEGO, który ją (PANIĄ EGUCKĄ) okrążał i POGRĄŻAŁ! Bo ten PLANKTON zawsze odmawiał jej wszelkich praw do INDYWIDUALNOŚCI, ORYGINALNOŚCI, ODRĘBNOŚCI.

Często spotykamy dynamiczne opisy, stopniowanie znaczeń, np. w celu scharak-

ryzowania osoby: *WESOLUTKI ŚLĄZAK. Teraz z ESSEN. Z tym swoim brylancikiem na palcu i jak wszyscy tu mężczyźni, wysoki, szczupły, tymi złotymi oprawkami okularów połyskujący, z tym wyrazem twarzy człowieka spełnionego, dostatkami naznaczonego, przez los uhonorowanego.*

Autorka wypelnia wskazanie Maksyma Gorkiego: „Pisarz powinien wiedzieć wszystko, albo prawie wszystko”. Jej wiedza jest bogata nie tylko z zakresu chemii, pedagogiki, socjologii, organizacji systemu oświaty, teorii wychowania, filozofii personalistycznej (przywołuje nieodzowność UCZŁOWIECZENIA CZŁOWIEKA, o co nawoływał Roman Brandstaetter); może służyć nawet za porady medyczne np. jak leczyć zatrucie pokarmowe, co trzeba zabrać by poradzić sobie, będąc samotnie w lesie.

Wie czym nie powinna być sztuka: *teraz się raczej nie maluje, nie rzeźbi, teraz się INSTALUJE... Niedługo Szlachecki zostanie artystą, TAAAKI z niego instalujący inżynier! Wszystko przed nim, bo teraz KAŻDY MOŻE BYĆ KAŻDYM; Zrywamy z tradycją, położeni na bezimiennych ŁÓŻKACH? Pragmatyka odrzuca wszelką metaforę? Nie oglądamy już obrazów ISTÓW, bo obraz zakotwiczony w dźwięk...ALGORYTM CZYTA PIKSEL po PIKSELU...szarość PIKSELA... nie ma JASNOŚCI... NIE MA BOGA.*

Należy ciągle pamiętać: *BÓG JASNOŚĆ OD CIEMNOŚCI oddzielił.*

Spotykamy opis współczesnych uwarunkowań ekonomicznych: *Teraz jeno ZŁOŚĆ i GNIEWNOŚĆ wszędzie – BEZDUSZNI HONORU nie mają, to i o SPRAWIEDLIWOŚCI pojęcia mieć nie mogą; i o PRAWDZIWEJ WOLNOŚCI też! Bo WOLNOŚCI nie dla ludzi, ale dla tego ich RYNKU stale pożądają; oraz wizerunek konsumpcjonizmu: NOWE WYRZUCAJ by KUPOWAĆ! BO KUPUJĄC – ISTNIEJESZ... niczego nie naprawiaj, niczego nie donaszaj.*

Toniczność tej prozy wzbogaca stopniowanie znaczeń, rzeczy, cech oraz czynności. Wszystko po to – by zbliżyć się do pełni artystycznego wyrazu, a także z nadzieją, by w tym dążeniu miał swój udział uważny czytelnik: *Tylko dlaczego ta szara smutna brosza wykuta przez KALISZANO ze starej blachy zdobionej techniką NIELLO – taka ponura – coś ZWIASTUJĄCA? PANI EGUCKA chciała przecież przypiąć do kołnierzyka KAMEĘ hrabiny PLATER – stare cacko, jakie Szlachecki kupił jej w DESIE – ktoś wyprzedawał biżuterię hrabiny i choć tam nie była to nowobogacka kamea w złocie, to jej drogocенność zawncom się natychmiast UJAWNIAŁA – UKAZYWAŁA – CZERWONA SŁONIOWA KOŚĆ! rzadkość przecież. Tło stanowiła! A na tym tle – CUD – stara poźółkła kość słoniowa dla kontrastu, a w niej główka kobieca wyrzeźbiona RENESANSOWEJ URODY, niczym jedna z GŁÓW WAWELSKICH! się wychylała – ukazywała!*

Autorka, niczym Juliusz Słowacki w „Królu Duchu” potrafi bawić się polskimi słowami: – *GÓRZYSKO – znaczenie wręcz pejoratywne – szeptęła PANI EGUCKA, powoli schodząc z tego zbocza porośłego krzewami dzikiej róży, rozgorzałej swymi czerwonymi koralami owoców – tak, jak UROCZYSKO, GMASZYSKO, ZWALISKO...jakieś jeszcze inne ISKO – roześmiała się, ale zaraz ten śmiech zamarł na jej ustach, bo weszła teraz w głęboki JAR, a tam na górze, na jego krawędzi – boki JARU pionowe – gdzieś nad jej głową, wychynęła – wychyliła się głowa? ŁEB chyba jakiś ogromiasty zwierza jakowego – chyba PSISKA!!! No proszę: jest i OHYDNOMORDE (neologizmy powstałe z oryginalnego połączenia przymiotnika z rzeczownikiem) PSISKO! I to na pewno nie wszystko... bo przecież może być i nam ukazane jeszcze jakieś ISKO!!!*

Długie palce u rąk, a także i u nóg mają istotne znaczenie: *według dziadka ICZA herbu MOGIŁA a nawet TRZY – arystokratyczne. Król Stanisław August Poniatowski w swojej sypialni tolerował wyłącznie metresy z długimi palcami rąk.*

Nazwisko EGUCKA nieodłącznie poprzedza słowo PANI. Nie mogło być inaczej, bo pan, pani, wielmożni / szanowni państwo – to taki tradycyjnie polski sposób zwracania się do drugiej osoby / dwojga osób. To właśnie wyróżnia Polaków wśród innych nacji.

Elżbieta Stankiewicz-Daleszyńska jest wierna eleganckiej polskiej tradycji: *SALVE, szlachetna DAMO KORONKOWA, kimkolwiek jesteś, bo na pewno jesteś WYJĄTKOWA w tym wnętrzu KULTURĄ WIEKÓW naznaczonym i CZYSTOŚCIĄ twego DUCHA, mroki tego domu rozjaśniającą, bo oblicze twe zacnością i dobrocią naszych starodawnych polskich – sarmackich rodów znaczone – zapisane. Wołałaś mnie? Ja nazywam się PANI EGUCKA – PANI!*

Przykładem maestrii dramaturgicznej może być rozmowa / spotkanie PANI EGUCKIEJ z dyrektorką szkoły w sprawie przyjęcia do pracy na stanowisko pedagoga. Przepyszne są realia w jakich rozwija się ten kontakt. *PANI EGUCKA o manierach pokolenia wypracowanych, wiekami znaczonej, nie spoufalających FIZJOLOGII z DUCHEM; dyrektorka ze zwichrzoną TRWAŁĄ ONDULACJĄ, co przy niskim czołku i małych zważach oczkach, nadawało jej wygląd przebiegłego, trochę jednak nieufnego chłopca, wiedzona po ojcu chłopską pazernością, wszystko zbierała, by posiadać.*

Autorka znakomicie „wygrywa” rekwizyt w postaci zmieniających swą świeżość pączków, wkładanych nerwowo na naczynie nazywane KRYSZTAŁEM.

Odnajdujemy w powieści myśli wskazujące na wartość tradycji, wielopokoleniowej inteligencji: *można być DAMĄ mając tylko jedną suknię w szafie, bo przecież nie o ich ilość chodzi, ale o te MANIERY, przez pokolenia*

Głębia wartości

wypracowane, wiekami znaczone...

PANI EGUCKA swoją postawą, zachowaniem, sposobem bycia udowadnia, że nie jest przedstawicielką kategorii ludzi self-made man.

Czytając tę prozę, pamięć odnajduje podobieństwo w sposobie obrazowania jakim posługiwał się Hans Christian Andersen: PANI EGUCKA nigdy potem i TERAZ też, nie mogła odgadnąć czy to deszcz, czy może ŁZY spływały z wyblakłych oczu stareńki, ale i po jej policzkach; tak odmiennie od innych mieszkańców wsi, którą – dla tej odmienności – nazwano NAWIEDZONA oraz noblista Orhan Pamuk: *Za tym rzędem chat i chatynek CZWORAKOWYCH biegła wąska steczka, zarzucona... WTEDY także listowiem i wspinającą się na otoczony fosą wał obronny: wał trzymający w uścisku – wyrastające z tej fosy – potężne pniami i konarami drzewa – do zakrętu kasztanowce, a dalej... nie wiadomo... nie można było dojrzeć.*

Powieść przekonuje, że najważniejsze znaczenie w życiu człowieka mają prawda, piękno, dobro i miłość, w której nie wyłącznie seks ma znaczenie oraz, że kultura to trwanie w humanistycznych wartościach: TRZEBA DOBRÓ wnosić właśnie w takie miejsca najbardziej przez ZŁO DEWASTOWANE ZAGARNIANE... DOBRÓ... energia pozytywna, ze swymi dobrami.

W swoich filozoficznych treściach uobecnia przesłanie księdza profesora Michała Hellera: „Nauka daje wiedzę, religia sens”.

Z wyjątkową atencją pisze o swoich rodzicach – wspaniałych nauczycielach: matce Gertrudzie – Żannie, skrzypaczce, filolożce, która uważała, że człowieka jedynie jego dokonania artystyczne nobilitują; ojca, który tak odpowiadał na stoickie wątpliwości córki: *Wszystko, co możemy uczynić, by pozostać godnymi własnego szacunku – bo nie o ludzki, jakże względny, może nam chodzić – to zapamiętać nad swymi myślami i uczynkami... Aby to osiągnąć trzeba nam najpierw nauczyć się z godnością znosić cierpienie jakie niesie życie... w taki sposób aby nie zgorzknieć... to wszystko, co możemy uczynić.* Mając takich rodziców oraz PRACOWITEGO ANIOŁA STRÓŻA miałyby przegrać z SZALONYM KNIAZIEM...

Gdy niechybnie nastąpi oczekiwany (nie przez cyborgów) powrót do odwiecznych / sprawdzonych wartości – co zresztą zgodne jest z prawidłowością występującą w dziejach ludzkości – książki Elżbiety Stankiewicz – Daleszyńskiej będą powszechnie czytane (i to może nie tylko w Polsce), zaspokajając potrzeby duchowe licznych grona czytelników. Na okres przyszłej szczególnej recepcji pisarki wskazują pozytywne symptomy zmian cywilizacyjnych, choćby wzrastające zainteresowa-

nie książką papierową w Japonii i Stanach Zjednoczonych, a także ostatnio i w Polsce.

Paweł Kuszczynski

Elżbieta Stankiewicz-Daleszyńska, „Widma miejsca i czasu”. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2014, s. 340.

„Smak błękitnego nieba”

Lata osiemdziesiąte to na dziejowej mapie Polski czasy bardzo trudne. Czasy, moglibyśmy powiedzieć, bardziej dla Sofoklesowskich Antygon niż Ismen. Dla tych, którzy czuli w sobie ducha walki, chęć oporu, pragnienie wyostrenia pazurów i zaatakowania systemu, postawienia na szali wszystkiego „za wolność naszą i waszą”. A co miały wówczas począć owe nieszczęsne „Ismeny”? Kobiety, które chciały zwyczajnie „prząść wełnę”? Dbać o dom, dzieci, o to, żeby postawić na stole ciepły obiad, pójść do pracy, na wywiadówkę do szkoły, na spacer z mężem, na kawę z koleżanką? Czy dla nich również było gdzieś miejsce? A może historia po raz kolejny udowodniła, że wobec pewnych spraw człowiek nie jest w stanie pozostać obojętnym? Że trzeba się opowiedzieć, zająć pozycję po którejś stronie barykady? Historia nie sprzeczna się bowiem tylko do wielkich bitew i spektakularnych popisów militarnych. Historia zaczyna się od jednostki. Od pojedynczego oddechu, idei, światła w tunelu. Od wyboru. Dobrego lub złego.

Eugenia Buraczyńska jest kobietą po czterdziestce. Mieszka w Wągrowie i pracuje jako polonistka. Ma dziewiętnastoletnią córkę, która przygotowuje się do matury. Życiorys dość zwyczajny jak na powieściową heroinę, prawda? A jednak jest coś jeszcze... W Polsce trwa stan wojenny, zaś mąż Eugenii, Adam, angażuje się w działalność opozycyjną. Siebie uważa za prawdziwego patriotę, a Eugenię za osobę obojętną i chłodną wobec spraw ojczyzny. Neutralność żony dokuca Adamowi do tego stopnia, że decyduje się on opuścić rodzinę i związać z inną kobietą – działaczką „Solidarności”. Eugenia zostaje sama. Z córką tuż przed maturą i chorą matką, której trzeba zapewnić opiekę. W sklepach półki świecą pustkami, a władza poczyna sobie wobec obywateli coraz śmieiej. Eugenia, choć sama nigdy nie angażowała się w działalność polityczną, objęta zostaje nieustającą obserwacją przez Służby Bezpieczeństwa. Jako żona działacza „Solidarności” jest bowiem osobą politycznie niepewną... Kobieta stara się chronić rodzinę i zachować swoją upragnioną neutralność, szybko się jednak okaże, że wobec zaistniałych wydarzeń nie można przyjąć postawy obojętnej. Odmawia-

jąc podpisania „lojalki” i przystąpienia do partii, Eugenia dokonuje wyboru i staje po stronie „tamtych”. Bo w świecie, w którym żyje, nie ma miejsca na neutralność. Trzeba stać murem za „systemem” lub przeciwko niemu wystąpić. Eugenia wybiera zatem opozycję. I choć sama nie konspiruje, ze strony władz spotyka ją szereg drastycznych represji. Utrata pracy, społeczna degradacja, a w końcu więzienie... Czy w politycznej zawierusze Eugenia będzie potrafiła znaleźć bezpieczną przystań? Czy będzie umiała zachować godność i postępować w zgodzie z własnym sumieniem, mimo widma niebezpieczeństwa, zwieszającego się nad jej głową niczym ciężki baldachim? Czy trafi na swoją małą „wysepkę szczęścia” w tym dziwnym świecie, funkcjonującym wedle irracjonalnych zasad?

Muszę przyznać, że dawno nie czytałam tak osobistej i podszytej wachlarzem autentycznych emocji książki. *Smak błękitnego nieba* to wprawdzie historia Eugenii Buraczyńskiej, a jednak trudno się oprzeć wrażeniu, że sporo tutaj również samej autorki. We wstępie do swojej powieści Elżbieta Śnieżkowska-Bielak twierdzi, iż jej powieść jest kolejnym subiektywnym spojrzeniem na lata osiemdziesiąte, próbą przefiltrowania wydarzeń przez sito własnego systemu wartości i głosem sumienia. I faktycznie – indywidualizm autorki i jej emocjonalność przebijają z każdej karty. A jednak powieść ta jest czymś więcej niż tylko subiektywnym spojrzeniem na przeszłość. Elżbieta Śnieżkowska-Bielak stworzyła – być może nieświadomie – powieść bardzo uniwersalną. Właśnie dzięki temu, że nie pisze o wielkich historycznych ikonach, że nie stoi na barykadzie, nie każe swoim bohaterom organizować strajków i uczestniczyć w dramatycznych demonstracjach. Zamiast tego opowiada historię kobiety wciągniętej w wir wydarzeń i zmuszonej do porzucenia marzeń o prozie życia, świętym spokoju i względnej stabilizacji. Kobiety, która również podejmuje walkę z systemem, ale tylko dlatego, że rzecz nie rozbija się już o działalność polityczną, lecz także o sumienie i osobistą godność. A sumienie nie pozwala Eugenii podpisać lojalki, nie pozwala jej przystąpić do partii. Sumienie nakazuje jej wybór innej drogi. Eugenia wszelkimi metodami szuka sposobu, by nie tylko przetrwać, ale i ocalić własną godność, zachować człowieczeństwo, móc każdego ranka bez obrzydzenia oglądać w lustrze swoją twarz. Jest cichą bohaterką. Jest jednym z tych małych, milczących wojowników, od których często zależą losy wielkich bitew. Jest „everywoman”. Kobieta, jakich wówczas w Polsce żyły tysiące. Reprezentantką większej zbiorowości. Jednym z tych miniaturowych mechanizmów, bez których nie mogłyby funkcjonować ogromne maszyny.

(Dokończenie na stronie 20)

„Smak błękitnego nieba”

(Dokończenie ze strony 19)

Powieść Elżbiety Śnieżkowskiej-Bielak jest również interesującym psychologicznym portretem kobiety, która dojrzewa emocjonalnie, podejmuje trudne decyzje, chroni rodzinę, ale i... cierpi z powodu miłości. Tak! Cierpi z powodu miłości. Eugenia Buraczyńska zakochuje się bowiem z wzajemnością w mężczyźnie, który nie jest jej mężem. Większość czytelników wzruszy zapewne ramionami i zapyta, w czym tkwi problem? Wiemy przecież, że mąż Eugenii do świętych raczej nie należy... A jednak problem jest. Eugenia przeżywa go mocno. W jej systemie wartości dylemat ten urasta do rangi antycznego konfliktu tragicznego. Eugenia jest bowiem wierzącą i praktykującą katoliczką i dla niej sakrament małżeństwa może zakończyć tylko śmierć... Jakie to niedzisiejsze, prawda? Jakie niemodne, staroświeckie i nieżywcowe... Kto by się dzisiaj przejmował podobnymi dylematami? Kto by robił dramat z rozwodu? Teraz? W dobie cyfrowej rewolucji i lotów w kosmos? W dobie globalnej wioski i szalejącego terroryzmu? Jakiś rozwód? Naprawdę? A jednak... W tej bezkompromisowości w ukazywaniu „niemodnych” problemów, w tej odwadze mówienia w sposób żarliwy i szczery o wierze – wierze czystej, nieubranej w puste rytuały, niepoddanej zmechanizowanym ceremoniom, ale przeżywanej każdym nerwem, niejako wręcz organicznie – Elżbieta Śnieżkowska-Bielak zasługuje na ogromny szacunek. A jej książka na uważną, spokojną, niespieszną lekturę. I refleksję. Na temat historii. Na temat trudnych wyborów. Na temat życia w ogóle.

Magdalena Knedler



Elżbieta Śnieżkowska-Bielak, „Smak błękitnego nieba”. Wydawnictwo Arcana, Kraków 2014.

Być mnichem

Twórczość pisarska **Tadeusza Chabrowskiego** lepiej jest znana poza granicami Polski niż w kraju. Złożyło się na to wiele powodów, więc nie od rzeczy będzie podanie kilku życiorysowych faktów.

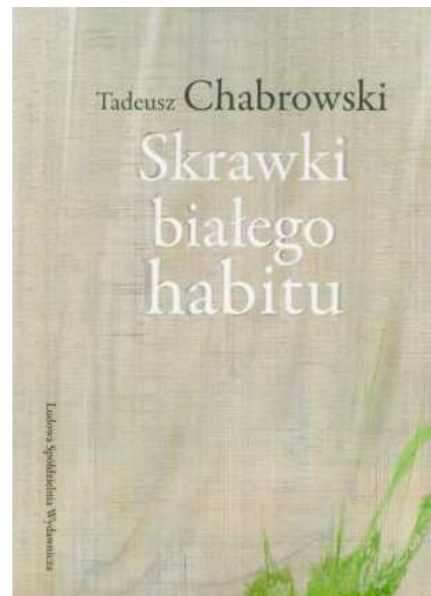
Chabrowski urodził się w roku 1934 w Złotym Potoku koło Częstochowy; był paulinem na Jasnej Górze. W roku 1961 wyjechał do Doylestown (USA), gdzie uczestniczył w powstawaniu sanktuarium, znanego pod nazwą Amerykańskiej Częstochowy. W 1967 roku wystąpił z zakonu i przebywa na emigracji do dzisiaj. Studiował m.in. w Dublinie, Filadelfii, Londynie, Warszawie i w Nowym Jorku, wykonywał wiele zawodów, brał aktywny udział w życiu amerykańskiej Polonii. Był redaktorem kilku polonijnych czasopism. Tadeusz Chabrowski debiutował tomikiem wierszy pt. „Madonny” (Londyn 1964). Wydał kilkanaście zbiorów poetyckich m.in. „Zakwitnę wieczorem”, „Panny z wosku”, „Dusza w klatce”, „Mnisi, czyli nierymowane strofy o cnotach”.

„Skrawki białego habitu” to debiut powieściowy Chabrowskiego. Dziwić się należy, że Wielka encyklopedia Polonii świata” w ogóle nie wspomina nawet o Chabrowskim. Trudno to zrozumieć.

Powieść „Skrawki białego habitu” oparta jest na bazie autentycznego dziennika nowicjusza, kandydata do zakonu paulinów. Główny bohater walczy z sobą, chce być uczciwy i wiarygodny względem samego siebie, nie chce sprawić zawodu swojej matce i bliskim. Dochodzi w swych zmaganiach do niezbyt optymistycznego wniosku, że życie jest jednym wielkim zmyśleniem, że sami nie wiemy, czego tak naprawdę chcemy. Nie chciałby Pana Boga oszukiwać. Jeden z przełożonych, ojciec definitor, tak mówi do młodego paulina: „Żeby być dobrym mnichem, nie trzeba na śniadanie jadać frykasów i marcepanów. Wystarczy garść jęczmienia lub fasoli. Na łożu śmierci braciszek się dowie, czy pobyt w klasztorze był braciszce do zbawienia potrzebny, czy też nie. Wiara w powołanie nie jest potrzebna do zbawienia. Prawdziwy mnich, ubezwłasnowolniony trzema ślubami: posłuszeństwa, ubóstwa i czystości i tak nigdy nie będzie pewnych swych racji ani swojego zbawienia, ani tego, że Bóg łaskawie spojrzy na jego trudy. Powinien iść prosto przed siebie, jak koń z kłapami na oczach, nie licząc na żadną nagrodę w niebie ani na ziemi. Prawdziwa miłość do Boga jest ślepa, podobnie jak trud rolnika wrzucającego jesienią ziarno w glebę”.

Dokumentalna powieść Chabrowskiego obfituje w cały szereg wręcz tragicznych wydarzeń, które dowodzą, że nie łatwo zostać mnichem.

Emil Biela



Tadeusz Chabrowski, „Skrawki białego habitu”. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2015, s. 172.

Sylwester Gołąb

Krystyna Loska

Nie pamiętam kiedy po raz pierwszy
zobaczyłem
styczniowe słońce
zadrzała bolesławiecka zastawa

Krystyna Loska marznie
tej zimy spadł śnieg
kot nazywa się Kac

nie pamiętam kiedy po raz pierwszy
zobaczyłem majowe słońce

Krystyna Loska mówi
na całym tym świecie
nie ma piękniejszego widoku
od firanki wydostającej się
na zewnątrz domu
wieczorami wszystko dryfuje na polach
Kac przeciąga się
skupiając uwagę kilku galaktyk

Krystyna Loska wie
jeszcze jesteśmy
bez smartfonów
parad
wystaw
strefy Schengen

juz jesteśmy bez autochtonów
w gąsiorze dojrzewają owoce ziemi



Filozofia codzienności (101)



Jak proroctwo brzmią słowa H. Biertümpfla wypowiedziane na Pierwszym Zjeździe Aptekarzy w 1912 roku: „Może dojść do tego, że lekarz nie będzie umiał napisać zwyczajnej recepty, a aptekarz nie będzie miał nic do roboty w specjalnym swym zakresie, gdyż fabryki lub zagranica dostarczą mu środków gotowych”.

Zarówno będąc lekarzem, jak i aptekarzem w pełnym tego słowa znaczeniu – powinno się mieć na względzie nie tylko dobro poszczególnego człowieka, czy narodu, lecz całą ludzkość. Płynie to logicznie z szacunku dla życia w każdej postaci. Problemy wyższych wartości są nierozdzielnie związane z człowieczeństwem. Parafrazując znane powiedzenie Kartezjusza, można by powiedzieć: wartościuję, więc jestem.

Miał rację Jerzy Braun, wybitny mesjanista XX wieku, gdy w latach 70. pisał w swoich dziełach, wydawanych w Rzymie, że zmateriałizowana ludzkość, „wyprana” z ideałów, stanowi poważne zagrożenie dla Kosmosu i samej siebie.

Prawo a moralność

Pokładam większą nadzieję w prawie niż w kodeksie etycznym jako instrumencie zdolnym prawidłowo ułożyć relację aptekarz-pacjent. Zawarty w tym stwierdzeniu jest pewien pesymizm w ocenie ludzkiej natury. Nawiążę tu do poglądów Leona Petrażyckiego, który podkreślał, że prawo stanowione ma doskonalić psychikę człowieka. Myśl polskiego uczonego mocniej oddziaływała w Skandynawii, by powołać ten przykład, niż obecnie w Polsce.

W duchu poglądów Petrażyckiego niejednym współczesny myśliciel trafnie głosi, że moralność reguluje sferę wewnętrzną poszczególnych ludzi, a więc wiąże się z problemem: ja – wobec samego siebie. Natomiast prawo pozytywne reguluje relację między człowiekiem a człowiekiem. Wskazuje to na doniosłość prawa, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę, że powiązania społeczne dają się redukować ostatecznie do relacji człowiek-człowiek. Nowy kierunek naukowy – filozofia farmacji – odpowiada tendencjom naszych czasów, by pogłębiać badania wąskospecjalistyczne treściami filozoficznymi. Filozofia

scala poszczególne dziedziny i umożliwia porozumienie ze sobą przedstawicieli rozmaitych dziedzin. Wyjątkowo aktualne stały się wątki filozoficzne Kanta, który wskazywał na człowieka jako na ostateczny punkt odniesienia. Właśnie człowiek, również w marketingu aptecznym, ma być traktowany jako cel sam w sobie – nie zaś instrumentalnie, jako środek do celu.

Etyka – jeśli ma łączyć ze sobą ludzi z natury swej zróżnicowanych powinna być, jak słusznie pisał T. Kotarbiński, niezależna. Niezależna, czyli wolna od jakichkolwiek założeń i odniesień światopoglądowych, a w tym wolna od treści, czy uzasadnień religijnych. Ludzie będą mogli się ze sobą porozumieć na gruncie wartości moralnych, gdy nie będzie się prowadzić sporów o genezę tych wartości i wiązać ich z określonymi światopoglądami. Taką etyką, która może scalić obywateli w państwie i stanowić podstawę dla stanowienia prawa, jest system poglądów oparty na wzorze dobrego, czyli społecznego opiekuna.

Tadeusz Kotarbiński stwierdza, że postępować w duchu prawidłowego opiekuństwa jest czymś czcigodnym i zacnym, zaś postępować według motywacji przeciwnej, to haniebne i godne pogardy. Uważa, że łatwiej można się porozumieć, przyjmując wartości: czcigodność-haniebność niż wartości obarczone tradycją wielorakich interpretacji: dobro-zło. Uważa, że każdy człowiek, niezależnie od swego stosunku do spraw religijnych, uznaje, że należy zaopiekować się tymi, którzy cierpią. Niepoddanie się temu poczuciu obowiązku, które dochodzi do głosu w każdym z nas, prowadzi do słusznej pogardy ze strony innych.

Opiekun, a więc każdy z nas, niezależnie od wyznawanych poglądów, powinien być godny zaufania, uczciwy, odważny, opanowany. Należy tak kształtować siebie, ażeby inni mogli na nas polegać. Zawsze i wobec każdego powinniśmy zachowywać się tak, jak wymaga tego dobro opiekuństwa. Poglądy te powinny być szerzone w środowisku aptekarzy.

Na marginesie dodam, że stosunek dobrego opiekuna powinien zachodzić, zdaniem omawianego filozofa, nie tylko w stosunku do ludzi, ale również w naszych relacjach z innymi istotami zdolnymi do doznawania cierpienia. Niestety, ten pogląd Kotarbińskiego, wypowiedziany przed kilkoma dziesiątkami lat, jest wciąż postulatem.

Tomasz Hobbes, filozof angielski XVII wieku, zarysował w swej filozofii obraz ludzkości charakteryzujący się tym, że człowiek staje się dla drugiego wilkiem. Otóż zapewne dzięki prawu, to znaczy lękowi przed możliwą sankcją, powściągamy swoje negatywne właściwości. Bo nie jestem pewna, czy raczej mają ci, którzy wskazują życzliwość powszechną, czy miłość bliźniego – jako cechy rzekomo wrodzone naszej naturze. Stoicy z starożytności wprowadzili pojęcie powszech-

nego braterstwa. W dziejach filozofii pojawiają się wizje przyszłych losów ludzkości związane z przekonaniem o zbędności prawa, ale wiążą się z nadzieją istotnego udoskonalenia ludzkiej natury.

Motywacja prawna rzadko bywa u nas powodem podejmowania jakichś działań. Dlatego twierdzę, że nawet doskonały kodeks etyczny nie rozwiąże skutecznie problemów środowiska farmaceutów. Brak należytego u nas szacunku dla prawa należy tłumaczyć szczególną sytuacją historyczną naszego narodu, która nie mogła wytworzyć w jednostkach poczucia obowiązku dochodzącego do głosu w innych narodach. Poczucia obowiązku skłaniającego, by przestrzegać przepisów prawa tylko dlatego, że jest ono prawem. Wzór wszelkich cnót szlacheckich, rycerz bez skazy, Skrzetuski – gdy Chmielnicki skarży się na krzywdę wyrządzoną przez sąsiada – radzi mu, aby podał do sądu, lecz zarazem pyta: „A cóż waćpan, szabli przy boku nie nosisz?”. Z kolei Łaszcz, postać również z trylogii Sienkiewicza, kazał sobie delia podbić – zamiast futrem – wyrokami sądowymi. W „Panu Tadeuszu” Klucznik radzi Hrabiemu zaniechać procesów i zgodnie ze starymi obyczajami – najechać: „Wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie”. Przytaczam te przykłady, ponieważ ilustrują one głębokie tradycje naszego nieposzanowania prawa.

Obniżenie znaczenia prawa płynie obecnie u nas również z powodu nadmiaru wydawanych przepisów. Widząc jakieś niedomagania w społeczeństwie, powołuje się do życia nowe paragrafy, mniemając, że problem został załatwiony. W rezultacie obowiązujący u nas system prawny ma liczne wady, które obniżają rangę prawa. Od 1989 roku przybyło tyle nowych przepisów prawnych, że nawet urzędnicy w pełni ich nie znają. Jednym ze źródeł owej nadmiernej działalności prawotwórczej jest biurokracja. Stabilizacja życia prawnego wzmogłaby stabilizację życia gospodarczego, politycznego, obywatelskiego.

Warto zdać sobie sprawę z tego, że gdyby mrówki w mrowisku miały normować swoje czynności prawem to zapewne nie przetrwałyby, bowiem ich energia kierowałaby się głównie ku czynnościom prawotwórczym. I sprawa nie mniej ważna: w tej rozrośniętej działalności prawotwórczej wyraża się brak zaufania do człowieka. A z kolei brak zaufania zwalnia w jakimś sensie od zobowiązań.

Brak stabilności prawa i nie przeprowadzona konsekwentnie zasada supremacji ustawy nie mogą budzić szacunku dla prawa. Rodzi się poczucie niepewności. Normy prawne, jeśli mają znaczenie czysto papierowe też obniżają rangę prawa, tworząc wadliwe tradycje.

cdn.

Maria Łajszkowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie -
człowieka o sobie**Framuga**

– No to co? – zapytał filozof Pan Nietwór, siadając przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– No to to – odpowiedziała piwnooka jak heban, czarnowłosa Luna, siadając przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– No to jak? – zapytał asystent Daniel Spaniel, siadając przy okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– No to tak – odpowiedziała błękitnooka, złotowłosa Wiosna, zbliżając się do okrągłego stołu w *salonie mych myśli*.

– No to z kim? – zapytał głos z za pieca.

– Z nią i z nim! – odpowiedziała okienna framuga w *salonie mych myśli*.

– Masz rację framugo, że tak mówisz, bo dobrze widzisz co niosę w rękach, aby postawić na stole – powiedziała Wiosna, stawiając na stół polską wiśniówkę i ukraiński zakarpacki koniak.

– Para jak spod samowara – powiedział filozof Pan Nietwór, nawiązując do atmosfery spotkania.

– A co będziemy teraz robić, drogi Autorze? – zapytał mnie głos z za pieca.

– Jak to co? – odezwała się w imieniu Autora okienna framuga – będziemy przyswajać na pamięć nieśmiertelność przyjaźni, bez której życie ludzi, zwierząt, bogów i wierszy nie jest życiem, tylko nikczemną egzystencją i plugawością trwania. Nie życzę sobie czegoś takiego przed moim oknem w *salonie mych myśli*.

– Czy to ty, framugo poprowadzisz ten spektakl w naszym teatrze przy okrągłym stole? – zapytał głos z za pieca.

– Tak, ja poprowadzę. Role już są rozdane kolego zapiecku, a tytuł utworu „Bodo”.

Zaczyna Wiosna:
*Upomniał się Pan o psa
zapraǳał go mieć u siebie
i wysłał anioły dwa na ziemię*

Daniel Spaniel:
*Jeden był anioł cios
drugi był anioł kres
i spotkał psa ludzki los
na pieskim padole też*

Filozof Pan Nietwór:
*Skończyła się ziemska wędrówka
zaokrąglił się wątek
koniec przyszedł na koniec
gdzie był na początku początek*

Luna:
*A gdy go anioły uniosły rakieta wysoko
gdzie pył prószy gwiezdny
pies Bodo był srebrną sylwetką
a oczach, ach smutek bezbrzeżny*

Głos z za pieca:
*Przygląda się Pan Bóg psinie
na Boga, cóż to za piękna sztuka
oddaj mnie ludzkiej rodzinie Boże
bo mnie rodzina szuka*

Autor:
*Tak się odezwał do Boga
Bodo, pies nieulekły, żółty bokser
choć teraz tam wieczną ma młodość
on do nas chce wrócić z powrotem*

Ale na tym nie kończy się występ w naszym teatrze. Do swego przyjaciela Ireneusza Morawskiego, Autor mówi wróć:

*Do ciebie wołam ze wszystkich stron
wróć stamtąd gdzie jesteś
listy myślę do ciebie ze wszystkich stron
i czekam na odpowiedź stamtąd gdzie jesteś
mam bardzo wielki żal do siebie
że jestem sam bez ciebie, a wokół pustka
ten pusty świat – nasz ludzki raj
wołam do ciebie ze wszystkich stron
wróć stamtąd gdzie jesteś
a ciebie naprawdę nie ma
wszystko jedno
wołam do ciebie ze wszystkich stron
do ciebie wołam, wołam wróć*

W *salonie mych myśli* głęboka cisza, tylko na stole oni oboje stoją przy sobie.

On ją pyta:
*powiedz mi czy boli cię głowa
powiedz mi czy boli cię brzuch
no powiedz czy bolą kolana*

Ona odpowiada:
*Boli mnie cały ten świat
którego krople słów
stają się cierniami zawiści
dlatego czekam na owo szczęście*

*jakie daje nicość
najpiękniejszy wiersz istnienia*

Więc teraz się pocałujmy – powiada polska wiśniówka do ukraińskiego zakarpackiego koniaku. Niech się wszyscy dowiedzą, że przyjaźń nasza jest nieśmiertelna. A więc się otwórzmy. A więc się odkorkujmy.

– A więc się napijmy – woła bursztynowym głosem Wiosna.

Kurtyna opada, a przyjaźń się podnosi nad okrągłym stołem. Jak widać niewyczerpana. Jak zwykle pod nadzorem Wiosny.

P.S.

Biorę do ręki pustą szklankę i mówię do niej – ty jesteś mój świat pełen nadziei. Słyszę pusty śmiech. Widzę, jak szklanka pęka ze śmiechu. W myślach jadę do Szklarskiej Poręby po szkło kontaktowe. W połowie drogi zawracam. Człowiek ma duże możliwości, jak chce nie jedno potrafi.

**Mariusz Cezary
Kosmala****Wstyd**

Obnażone pośladki ojciec brał
na drzewo krzyża swoich bolesnych

kolan i umierałam po wielokroć,
gdy gwoździami chłosty przybijał

moją nagość, już dojrzała, żeby
zrywać zębami. A kiedy paskiem jak włócznią

przebił czuły bok intymności, życzyłam mu
śmierci. Lecz on modlił się za mnie tym
paskiem

gorliwie,
albowiem nie wiedziałam, co czynię.

Buta

Garbata przestrzeń, potargane bory, ciemne
regle skrywające uporządkowaną ciszę.
Asymetria gór przemieszana z zapachem

falujących wspomnień. Kroki. Zachmurzona
oczywistość deszczu wyszarzała kolejne
minuty. Napędzani widokiem niebosiężnych

ambicji, szliśmy coraz prędzej, żeby
nagiąć czas do własnych nóg. Przemęczone
buty
i plecaki dodawały nam skrzydeł.



POEZJA

Jolanta Baziak, „Całe stworzenie. Wiersze wybrane i nowe 1974-2014”. Opracowanie graficzne: Franciszek Otto. Koncepcja obwoluty: Kinga Łaska, Katarzyna Gołębiowska. *Biblioteka Bydgoskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*. Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych w Bydgoszczy, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2014. *Pryma*, s. 136. *Tercja*, s. 156. *Kwinta*, s. 46.

Oliwia Betcher, „Poza”. Projekt okładki: Rafał Babczyński. Grafika i opracowanie graficzne: Maria Kuczara. Wydawca: Zaulek Wydawniczy POMYŁKA, Szczecin 2015, s. 58.

Wojciech Boros, „Pies i Pan”. Projekt okładki: Tomasz Fronckiewicz. Seria *Faktoria Poezji*, tom I. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I, Brzeg 2014, s. 44.

Helena Chamier-Gliszczyńska, „Mgła umysłu / The fog of mind”. Redakcja i wybór utworów: Kazimierz Burnat. Przekład: H. Chamier-Gliszczyńska, Bydgoszcz 2015, s. 86.

Łucja Dudzińska, „MeMbrana. Cyrkulacje”. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Maria Kuczara. Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2014, s. 94.

Piotr Gajda, „Golem”. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Sitko. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 106. Instytut Mikołowski, Mikołów 2014, s. 48.

Jan Górec-Rosiński, „Księga snów”. Ilustracje: Paulina Rakowska, Konrad Wójciów. *Biblioteka „Tematu”*, tom 77. Bydgoszcz 2013, s. 132.

Natalia Komarów, „Godaw, Saska Kępa, Śródmieście”. Grafika na okładce: Piotr Pasiewicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. *Kolekcja Elewatora*. Fundacja Literatury imienia Henryka Berez, Szczecin 2014, s. 58.

Agnieszka Syska, „Abecadło strzegło. Wiersze 2006-2007”. Opracowanie graficzne: Anna Paszkowska. Zaulek Wydawniczy POMYŁKA, Szczecin 2015, s. 28+20 nlb.

PROZA

William S. Burroughs, Jack Kerouac, „A hipopotamy żywcem się ugotowały”. Przełożyła: Ewa Górczyńska. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl. Fotografia na okładce: Allen Ginsberg / Cobis / Fotochannels. Seria *Amerykańska*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 152.

Zofia Gołębiowska, „Opowiadania”. Fotografie ze zbiorów autorki. Grupa IMAGE, Warszawa 2014, s. 94.

Kazimierz Ivosse, „Cisza i cień. Powieść”. Projekt okładki: Kazimierz Ivosse (z wykorzystaniem fotografii nieznanego autora zamieszonej w „Das Magazin Für die Menschenrechte „Amnesty

Jurnal”). Zdjęcie autora: Barbara Kielb. Wydawnictwo PAPIRUS, Hamburg – Oldenburg/H – Jarosław 2015, s. 292.

Aleksander Kondratiew, „Na brzegu Jarynia. Powieść demonologiczna”. Przekład, opracowanie i wstęp: Halyna Dubyk. Projekt okładki: Marianna Sztyma. Fotografia na okładce ze zbiorów: Russkij Kulturnyj Centr Rowiensej Oblaszi. *Biblioteka Borussii*, tom 52. Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia” Wydawnictwo Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, Olsztyn 2014, s. 230.

Krzystian Ławreniuk, „Ziemia Wrózek”. Projekt okładki: Tomasz Fronckiewicz. Fotografia na IV stronie okładki: Adrian Warchał. Seria *Faktoria Prozy*, tom I. Fundacja Rozwój, K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I, Brzeg 2014, s. 184.

Milka O. Malzahn, „Kosmos w Ritzu”. Zdjęcie na okładce: Marzena Gregier Franco. Zdjęcia w książce z kolekcji: Tadeusza Chańki i Jana Murawiejskiego. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berez, Szczecin-Bezrzecze 2014, s. 108, w tym fotografie.

Agnieszka Masłowiecka, „Splątanie”. Zdjęcie na okładce: Małgorzata Masłowiecka-Tomaszczyk. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berez, Szczecin-Bezrzecze 2014, s. 154.

Patrick Modiano, „Przejechał cyrk”. Przełożyła: Katarzyna Skawina. Okładka i strony tytułowe: Piotr Gidlewski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2014, s. 136.

Patrick Modiano, „Zagubiona dzielnica”. Przełożył: Wiktor Dhiski. Okładka i strony tytułowe: Piotr Gidlewski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2014, s. 160.

Krzysztof Zadros, „Potwór i inne opowiadania”. Projekt okładki, stron tytułowych i rozdziałowych: Paweł Sky. Zdjęcie autora: Iwona Chodorowska. Oficyna Wydawnicza Volumen, [bez miejsca wydania] 2014, s. 298.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

„Andrzej K. Waškiewicz – miejsca odwiedzone”. Pod redakcją: Janusza Daneckiego. Opracowanie i wybór: Barbara Wrona. Autorzy i tłumacze: Andrzej K. Waškiewicz, Adonis, Mahmud Junis Ammar, Abd al-Wahhab al-Bajati, Ewa Borkowska, Selim Chazbijewicz, Janusz Danecki, Mahmud Darwisz, Marek M. Dziekan, Abdallah Hosejni Dżawadi, Ali al-Fazzani, Unsi al-Hadż, Jasın Taha Hafiz, Behruz Haszempur, Muhammad Ibn Muhammad al-Ilmi, Hatif Janabi (Hatif al-Dżanabi), Salihu Jan-Kidi, Hanna Jankowska, Farukjusuf, HasanAbd Allah al-Kuraszi, Jolanta Kozłowska, Eugeniusz Kurzawa, Lubomira, Ewa Machut-Mendecka, Sami Mahdi, Nadżib Mahfuz, Dżalal Mohammad, Stanisław Piłaszewicz, Hamid Sa'id,

Adnan as-Sa'igh, Alhaji Shehu Aliju Shagari, Mirosława Szott, Małgorzata Szyburska, Barbara Wrona, Leszek Żuliński. Wydawca: Katedra Arabistyki i Islamistyki, Warszawa 2015, s. 224.

Zbigniew Brzeziński, „Agonia komunizmu”. Wybór, opracowanie, wstęp: Małgorzata Ewa Ptasńska. Projekt okładki i stron tytułowych: Krzysztof Rumowski. Zdjęcie Zbigniewa Brzezińskiego z Jerzym Giedroyciem ze zbioru Instytutu Literackiego. Seria *W kręgu paryskiej Kultury*. Instytut Literacki Kultura, Instytut Książki, Paryż-Kraków 2014, s. 386.

Marian Buchowski, „Buty Ikara. Biografia Edwarda Stachury”. Projekt graficzny: Andrzej Barecki. Zdjęcie na obwolutie: Danuta Pawłowska-Skibińska. Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2014, s. 662, w tym fotografie.

Olgierd Dziechciarz, „Pakuska”. Grafpress Łukasz Kajda, Olkusz [bez daty wydania], s. 222.

Teresa Gierzyńska, Edward Dwornik, Dorota Gierzyńska, Zofia Kulik, Przemysław Kwiek, Daniel Wnuk, „Nad rzeką, której nie ma”. Tłumaczenia: Jakub Chełkowski, Piotr Mierzwa. Projekt graficzny: Damian Nowak. Galeria Sztuki Współczesnej BWA SOKÓŁ w Nowym Sączu, Oddział Małopolskiego Centrum Kultury SOKÓŁ, Instytucja Kultury Województwa Małopolskiego, Nowy Sącz 2014, s. 184.

Rafał Jaworski, „Miejsca współczulne, strefy wdzięczności”. Redakcja: Edward Przebieracz. Zdjęcie autora na okładce: Archiwum domowe autora. Projekt okładki: Rafał Jaworski. Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2014, s. 252.

Dawid Kujawa, „Widopoezja, szkice”. Projekt okładki i stron tytułowych: Bartosz Zaskórski. *Biblioteka „Opcji”*, tom 19. Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych. Katowice 2014, s. 160.

Dariusz Michalski, „Trzysta tysięcy gitar nam gra czyli historia polskiej muzyki rozrywkowej (lata 1958-1973)”. Przedmowa: Franciszek Walicki. Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki. Na obwolutie wykorzystano zdjęcia Leopolda Dzikowskiego, Marka Karewicza i Dariusza Michalskiego. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2014, s. 872, w tym fotografie.

Michał Olszewski, „Najlepsze buty na świecie”. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Fotografia na okładce: Mikkel Ostergaard / Panos Pictures. Projekt typograficzny: Robert Oleś / d2d.pl. Seria *Reportaż*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 266.

Krzysztof Pomian, „Porządek czasu”. Przełożył: Tomasz Stróżyński. Projekt typograficzny i projekt okładki: Stanisław Salij. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2014, s. 378.

Witold Rybczyński, „Jak działa architektura. Przyborek humanisty”. Przełożyła: Karolina Kopczyńska. Projekt graficzny: Przemek Dębowski. Wydawnictwo Karakter, Kraków 2014, s. 380.

[ad]

We śnie i na jawie, po meandrach bytu

(Dokończenie ze strony 13)

zawsze tych / którzy ją mówią / wybieramy
strach / przed nią / nie miłość / do niej / –
najczęściej/ją śnimy”.

Dlaczego tak wiele śnienia w najnowszych wierszach Ignacego S. Fiuta? Według powszechnej opinii, to co dla człowieka szczególnie ważne, co najbardziej zaprząta jego myśli i tkwi w świadomości oraz w podświadomości, najczęściej mu się śni. Poetyckie opowieści o „snach” to rodzaj deklaracji: „Oto, co dla mnie najważniejsze, to co cenię najwyżej”. Poeta pragnie jak najdobitniej wyrazić, ba – jak najgłośniej wykrzyknąć, to co tak głęboko go nurtuje, mimo iż zdaje sobie sprawę, że poezja nie jest powszechnie czytana, zatem do niewielu dotrze, mimo iż wie, że na tych, którzy ją czytają, niewiele ona wpłynie, a może nawet wcale...

Czy poezja trafia w próżnię? Może jednak nie całkiem... A jeśli nie cała znika w pustce, to należy zadbać, by przemówiła przekonująco, by zawarte w niej przesłanie nie zostało odrzucone. Może zatem lepiej nie rzucać światu trudnych prawd wprost w twarz, może skuteczniejsze będą senne obrazy? Poeta ma chyba taką nadzieję. Przeczytajmy zamykający tomik wiersz „Nie lękajcie się słów...”:

*moje słowa
to żywe kamienie
– rzucam je w Was
i proszę –
podnieście je!
– wtedy zrozumiecie
że Wasz duch potrzebuje
ukamienowania, by żył
wiecznie i nie lękajcie się
słów poety
– on przecież tylko
śni*

Świat poetycki autora „Polisemii piękna” istnieje tu, w tym tomie, poprzez sny, to sposób na jego uporządkowanie i na porozumiewanie się podmiotu mówiącego ze światem. Jest to, moim zdaniem, doskonała metoda na zakomunikowanie czytelnikowi ważnych prawd o życiu człowieka. Wizje na pograniczu jawy i snu, towarzyszące emocje „śniącego lirycznie autora” brzmią tu mocno i dobitnie.

Danuta Sułkowska

Ignacy S. Fiut, „Moje sny i inne wiersze”. Wydawnictwo Aureus, Kraków 2014, s. 48.

Piękna listowna przyjaźń

Doprawdy trudno o przyjaźń wśród pisarzy. Na przeszkodzie stoi zawiść albo zazdrość o czyjś literacki sukces, nagrodę, wyróżnienie itp. Przeczy temu wieloletnia przyjaźń, która łączyła **Sławomira Mrożka** i **Józefa Barana**. Byli swojakami, bo obaj urodzili się w Borzęcinie. Pierwszy w roku 1930, a drugi w roku 1947. Spora różnica wieku nie stanowiła przeszkody. Wprost przeciwnie, była spoiwem łączącym ich niepokromioną wyobraźnię.

Józef Baran zawsze szukał kontaktów i przyjaźni z luminarzami kultury, dość wspomnieć Artura Sandauera. Nie chciał stać w ich cieniu, ale w ich świetle, którym promieniowali. Przy okazji zyskiwał zasłużoną sławę wybitnego poety. Szczęśliwy traf dla Józefa Barana sprawił, że zetknął się korespondencyjnie ze Sławomirem Mrożkiem.

Właśnie ukazał się bardzo obszerny tom listów autora „Tanga” i twórcy „Naszych najszerszych rozmów” z lat 1974-1992. Cały tom opatrzony jest dość enigmatycznym tytułem „Scenopis wieczności”, który można wytłumaczyć wyimkiem wziętym z listu Mrożka: „Bo ja wierzę, że istnieje jakiś model idealny dla każdego, tylko dla niego jednego, jakby idealny scenopis od całej wieczności napisany i to w najdrobniejszych szczegółach”.

Lektura listów jest doprawdy fascynująca, chociaż obarczona jest etycznym pytaniem, czy w ogóle można czytać cudze listy? Chyba można, ale nie jest to pozytywna cecha człowieczego charakteru... Ekshibicjonizm twórców nie jest czymś nowym. Często osobistą sławę buduje się za wszelką cenę. Mrożek sławę ma światową i już o nią nie musi zabiegać, a Józef Baran ciągle jest kolekcjonerem laurowych liści, które mogą niekiedy wędznąć, więc trzeba o nie codziennie dbać.

Warto z sygnalizowanych listów przytoczyć autocharakterystykę J. Barana: „Jest we mnie tylu ludzi kłócących się ze sobą, i ten zahukany dekalogiem chłopiec wiejski, i ten artysta, który jak grzmotnie parę wódek, to wygłasza wielkie improwizacje przeciw Bogu i światu... i idealista, i materialista, święty i rozpustnik, kapłan i błazen; kotłują się, zwołują zebrania, zawsze któryś wyskoczy ze swoim liberum veto”.

A wcześniej jeszcze poeta napisał o dramaturga: „bo myślę, że skoro Ty jesteś taki coraz większy, to i automatycznie ja, potrafiący nawiązać z Tobą dialog, jestem też niegłupi chłop”.

Emil Biela

Józef Baran, Sławomir Mrożek, „Scenopis do wieczności. Listy”. Posłowie: Wojciech Ligęza. Wydawnictwo ZYSK i SKA, Poznań 2014, s. 272.

Nowe poszukiwania

Felicja Bożyszowska-Sękowska zaskoczyła ostatnio czytelników wydając dwie książki, które są zbiorem małych form literackich. Pisała do tej pory powieści i wydawała poezję, ale widocznie życie w pośpiechu otaczających ją ludzi, skłoniło Autorkę do pisania form krótkich.

„Uśmiech przez łzy” został opatrzony wstępem wybitnej uczoney, prof. dr hab. Zofii Chyry-Rolicz. Nie jest to zaskakujące, bowiem Felicja Bożyszowska-Sękowska jest nie tylko pisarzem, ale także pedagogiem i psychologiem. Jej twórcza postawa życiowa spowodowała, że wiele lat temu zorganizowała w Warszawie Klub Kobiet Twórczych. Zespolił w kobiety nieprzeciętne, które wniosły wkład w rozmaite dziedziny twórczości, by wymienić Kalinę Jędrusik, Mirę Ziemińską, Marię Fołtyn, czy kapitaną żeglugi morskiej, panią Kobylińską. Życiowy stosunek do ludzi przejawia się w działaniach omawianej tu Autorki. Cenię udział Felicji Bożyszowskiej w organizowanych przeze mnie międzynarodowych lub ogólnopolskich konferencjach naukowych.

W książeczce „Uśmiech przez łzy” Autorka wyraża swoje obserwacje i często jest to wyraz gorzkiej wiedzy o ludziach, a w tym o politykach. Sensowna jest na przykład w omawianej książeczce pochwała intuicji oraz przestroga, by nie odrzucać wartości tradycji. Natomiast zastanawia pojawiająca się w twórczości Felicji Bożyszowskiej-Sękowskiej nuta religijna. Nie dostrzegłam jej wcześniej.

W książce „Urok anioła czy czar czarta” zawarte są rymowane fraszki wyrażające mądrość życiową. Przenika tę książeczkę przekonanie, że człowiek z siebie powinien czerpać moc pokonywania przeciwności, nie liczyć na innych. Więcej zależy w życiu od nas niż nam się to wydaje. W tych fraszkach zawarty jest niepokój o ludzi biednych, nie dających sobie rady. Na zakończenie zacytuję jedną z nich, dotyczącą życia politycznego.

*„Rządowe tajemnice
właściwość tę miały,
że do kelnerskich uszu
same przenikały”.*

prof. Maria Szyszowska

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Ignacy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.